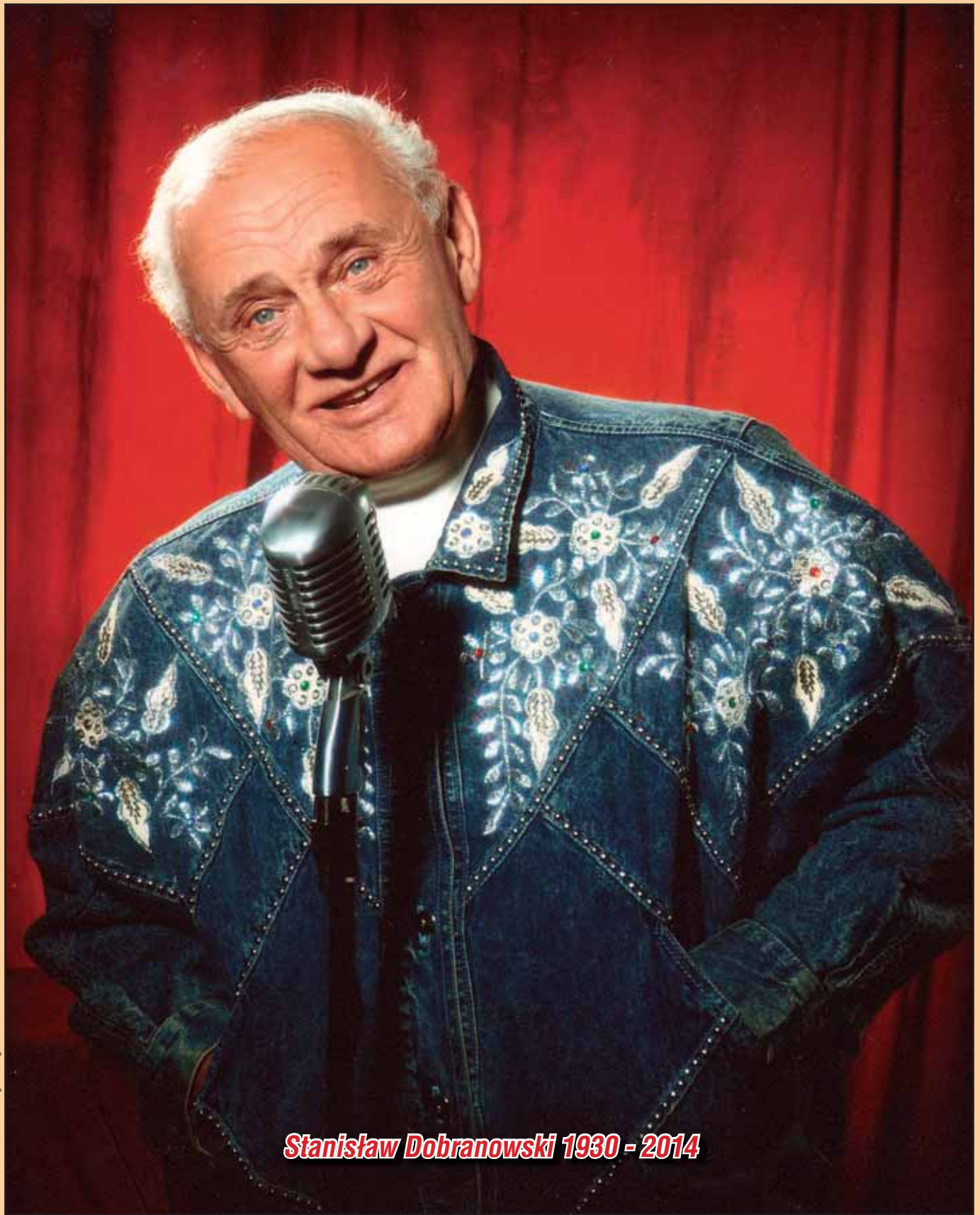


WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW
I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

ISSN 1426-195
ROK XXV nr 1 (100)
wiosna 2014
Cena: 4 zł



Fot. Andrzej Tarajko

Stanisław Dobranowski 1930 - 2014

Stanisław Kobiela

MAESTRO

Wspomnienie o Stanisławie Dobranowskim (1930-2014)



Chyba nie ma w Bochni, z naszego pokolenia nikogo, kto nie znałby Staszka Dobranowskiego, czy to z działalności sportowej, wokalnie-muzycznej, kabaretowej, tanecznej, czy z aktywnej pracy zawodowej w Operze i Operetce Krakowskiej oraz społecznej w Stowarzyszeniu Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, z którym związał się na dobre i złe od stycznia 1980 r.

aż do śmierci, czyli na okres ponad 34 lat. Pasja twórczego działania na tak szerokim polu zainteresowań zjednywała mu wielu przyjaciół i zachęcała do robienia dla Bochni rzeczy pięknych i wartościowych.

Od połowy lat 80. ubiegłego wieku „Dom Bochniaków” stał się dla niego domem rodzinnym, przystanią życiową i miejscem, z którego mógł obejmować wzrokiem i sercem swoje ukochane miasto. Tutaj, z dużym talentem i znajomością spraw, mógł inicjować i podejmować się wykonania wielu rzeczy, które przerosnąć mogły – w swojej różnorodności - niejednego z nas. Niektóre z nich pozostały i są świadectwem jego patriotyzmu i tej nieustępliwej walki o zachowanie tradycji i tożsamości naszego miasta.

Delikatny, uczuciowy, zawsze pogodny, elegancki i uśmiechnięty, witał szerokim gestem każdego znajomego przechodzącego koło „Domu Bochniaków”. Był artystą w każdym calu. Z oddaniem potrafił wiernie i konsekwentnie bronić ideałów naszego Stowarzyszenia i niejednokrotnie osiągał na tym polu znaczące sukcesy. Był spoiwem łączącym Bochniaków z wszystkich naszych oddziałów w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Gdyni, Katowicach, Bochni i Nowym Wiśniczu. Dzisiaj, pisząc o nim wspomnienie, nie da się go zakwalifikować jako wyizolowanego samotnika-indywidualisty. Żył wśród nas i działał wśród nas, jako jeden z najofiarniejszych działaczy Stowarzyszenia.

Urodził się 11 kwietnia 1930 roku. Ojciec, Kazimierz, był wykwalifikowanym stolarzem i pracował na tzw. Trybulcówce, za budynkiem obecnej Przychodni Rejonowej przy ulicy Floris, zaś matka, Aniela, pracowała w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece przy ul. Mickiewicza. Tam także w służbowym mieszkaniu

mieszkał wiele lat, potem przy ul. Kazimierza Wielkiego 15.

W Bochni spędził dzieciństwo, okupacyjną młodość i dorosłe życie. Jego talent taneczny ujawnił już przed wojną, jako kilkuletni chłopiec, w bocheńskiej Ochronce”, prowadzonej przez Siostry Felicjanki. Miał nawet fotografię z jakiegoś przedstawienia w tym zakonnym przedszkolu. Po wojnie, od 1945 r. przez kilka lat działał aktywnie w sekcji gimnastycznej bocheńskiego Klubu „Olympia-Sokół”.



Mal. Fr. Mollo

W Chórze Koronacyjnym

W 1949 r. razem z panią Samoder-Majewską został przyjęty do bocheńskiego Chóru Koronacyjnego, którym kierował organista - pan Stanisław Katlewicz. *Taki organista zdarza się raz na sto lat* – mówił o nim Dobranowski. *To był prawdziwy wirtuoz, czuł muzykę, a przy tym był taki elegancki, kulturalny, przystępny i sympatyczny, że z przyjemnością uczestniczyliśmy w próbach i występach w kościele.* Wiele ciepłych słów powiedział po latach o dyrygencie Janie Kucu i wspaniałych indywidualnościach z tego chóru: pani Marii Steczyszynowej „słowiku Bochni” mającej wspaniały, bardzo wyrównany sopran liryczny, znakomicie radzącej sobie z koloraturą, Kazimierzu Heydzie tenorze bohaterskim, zdecydowanym silnym męskim głosem, Tadeuszu Hargesheimerze, który miał bas baryton klasy słynnego Adama Didura. Po wielu latach potrafił z dwóch zbiorowych fotografii rozpoznać bezbłędnie wszystkich kilkudziesięciu chórzystów. Te obszernie wspomnienia Stanisława Dobranowskiego wykorzystaliśmy w 1993 r. w artykule o Chórze Koronacyjnym na łamach „Wiadomości Bocheńskich” (nr 5/1993) i tam odsyłamy zainteresowanych tym tematem czytelników. Jakże bogate i ciekawe są te wspomnienia.

Nikt, tak jak Stasiu, nie umiał opowiadać i rozpalać wyobraźni i dzisiaj właściwie tyle wiemy o chórze, ile On nam przekazał. Pamiętał nawet, że chór ten zajął I miejsce w 1949 r. na



Goście z Saarlouis w „Domu Bochniaków”



Stanisław Dobranowski i Marian Sołtyś

przełędzie chórów Polski Południowej, wykonując pod batutą Jana Kuca pieśń Noskowskiego „Matulu moja”. Chociaż był to chór kościelny, śpiewał także pieśni świeckie, a wśród nich utwór „Żaby” pod kierunkiem nowego kierownika chóru, pana Tadeusza Hargesheimera.

Posłuchajmy fragmentu tych wspomnień Stasia Dobranowskiego: *Utwór odzwierciedlał kumkanie żab w stawie. Pan Hargesheimer rozpiął utwór na cztery głosy. Oparty był na 16-tkach, 32-kach i 64-kach. Kumkanie żab było najpierw bardzo ciche piano-pianissimo, potem coraz głośniejsze i szybsze, aż dochodziło do wielkiego forte i oszalałającego tempa. Były tam głosy małych żabek i starych ropuch, były panie żaby i panowie żaby, a nad nimi górowała najwspanialsza basowa arcyżaba czyli pan Tadeusz Hargesheimer. Ten utwór musieliśmy zawsze bisować, tak bardzo się wszystkim podobał. Po jednym z takich koncertów Filharmonia Krakowska zaproponowała etaty dla pań Stecyszynowej, Hillebrandtowej, panów Hargesheimera, Heydy i jeszcze kilku osób, ale nikt nie skorzystał z oferty.*

W krakowskiej Operze i Operetce

Na początku lat 50. XX w. Dobranowski odbył służbę wojskową. Tańczył tam i szkolił się muzycznie w Wojskowym Zespole Pieśni i Tańca KBW w Warszawie (1951-1953), a potem w Zespole Pieśni i Tańca Wojska Polskiego (1953-1955) pod kierunkiem przedwojennego polskiego klezmera, Leopolda Kozłowskiego, który ten zespół założył i był jego dyrygentem. Potem od 1955 roku rozpoczęła się jego wielka przygoda z krakowską Operetką. Być może zachęcił go i pomógł mu właśnie Leopold Kozłowski, spokrewniony z rodziną Widelków z Krzęczkowa, który wraz z żoną, piękną blondynką, i córką przyjeżdżał co roku do Bochni na wakacje i mieszkał wtedy u Widelków na Krzęczkowie.

Zbyszek Furmański pamięta, że Staszek jeździł rano pociągami na próby teatralne do Krakowa, potem wracał do Bochni i dopiero wieczorem jechał do Operetki na spektakl. W najpiękniejszych scenach tanecznych „Księżniczki czardasza” „Carmen”, „Don Juana”, „Hrabiny Marizy”, „Róży Stambułu” czy „Wesołej wdówki” szalenie zgrabny, wszechstronnie utanczniony i zawsze niezawodny nasz Ko-



lega dawał pokaz swojej scenicznej wirtuozerii. W katalogu „Księżnej cyrkówki” Emmericha Kalmana, wystawianej na scenie Operetki przy ul. Lubicz, od 1955 r. z Iwoną Borowicką w roli księżnej Angeliki Frascati, znajduje się jego fotografia i informacja, że S. Dobranowski występuje tam w tańcu clownów, konia i małpy w I akcie, w walcu i tańcu cygańskim w akcie II oraz w finale. Podobnych katalogów było więcej w jego mieszkaniu, ale po śmierci Staszka zostały stamtąd gdzieś zabrane i nie mamy do nich dostępu.

Kiedy, w ramach akcji kulturalno-oświatowych, do Teatru Muzycznego w Krakowie jeździły pracownice wycieczki z Bochni, każdy uczestnik wypatrywał „naszego Stasia” i to były najpiękniejsze przeżycia. I tak jak krakowianie do teatru „chodzili na Borowicką”, tak bochnianie „jeździli nie tylko na Borowicką, ale także na pana Stasia”.

Na stronie internetowej Opery i Operetki Krakowskiej www.e-teatr.pl podane są chronologicznie od 1960 r. operetki i role, w jakich występował Stanisław Dobranowski. M.in. był kowbojem w „Clivii” Nico Dostala, w „Księżniczce czardasza” E.Kalmana w 1961 r. tańczył czardasza i jako Pi-

kolak występował w tańcu cygańskim, w 1962 r. w „Lakme” Leo Delibesa, w 1963 r. w „Romeo i Julii” Czajkowskiego, w „Fajerwerku” P.Burkharda grał rolę listonosza, clowna i Zebkę, we „Francesca da Rimini” Czajkowskiego był zalotnikiem, a w „Pannie wodnej” J. Świętochowskiego – marynarzem. W 1964 r. w „Harnasiach” K. Szymanowskiego był drużbą, grajkim i harnasiem, a w „Cnotliwej Zuzannie” J. Gilberta grał handlarza i Hiszpana. W 1965 r. wystąpił w cygańskiej pantomimie w „Carmen” G. Bizeta, był Leporellem w „Don Juanie” Ch. Glucka, chłopem w „Pietruszce” I. Strawińskiego, a w następnych latach tańczył w „Fauście” Ch. Gounoda, „Fra Diavolo” D. Aubera, „Wiedeńskiej krwi” J.II Straussa. W 1970 r. w „Wesołej wdówce” F. Lehara tańczył walca, bolero, kankana, taniec czarnogórski i był węzem. W „Hrabinie Marizy” E.Kalmana (1973) brawurowo wykonał czardasza, taniec cygański, walca i polkę. W następnym roku 1974 r. był satyrem w „Hrabinie” S.Moniuszki, a w „Róży Stambułu” L. Falla – tańczył w scenach baletowych. W 1976 r. w „Weselu w Ojcowie” K. Kurpińskiego wystąpił w roli wesółka wiejskiego, w operetce „Polska krew” O.Nedbala (1979) był komornikiem, a w „Opowieści o mistrzu Twardowskim” L. Różyckiego (1980) wystąpił w roli karczmarza.

Po przejściu na emeryturę w 1977 r. nie zerwał więc kontaktu z teatrem. Grał do 1980 roku i jeszcze gościnnie w Teatrze „Roma”. Przyjaźnił się z wieloma artystami sceny krakowskiej, co roku bywał na spotkaniach opłatkowych artystycznego środowiska krakowskiego, gdzie był zawsze niezwykle miło i ciepło witany. A w „Domu Bochniaków” w chwilach dobrego nastroju otwierał worek ciekawostek, tajemnic i anegdot na tematy teatralne z czasów wielkiej Iwony Borowickiej, Romana Węgrzyna, Kazimierza Rogowskiego, Kazimierza Pustelaka czy Włodzimierza Kotarby.



B. Piro i S. Dobranowski

Niepokorny kabareciarz

W styczniu 1963 r. Stanisław Dobranowski założył przy bocheńskim klubie „Grotą” młodzieżowy zespół estradowo-kabaretowy „Teatrzyk Koliber”. Był jego kierownikiem, konferansjerem i choreografem. Artystami byli uczniowie wyższych klas bocheńskiego „Ogólniaka”. W inauguracyjnym programie „Co kto umie” były piosenki, teatrzyk żywego słowa i dobra muzyka w wykonaniu świetnego bocheńskiego pianisty Bolesława Piro, który najczęściej grał solo. Był starszy od innych i o wiele lepszy



Od lewej: Leszek Lichtenstein, Andrzej Tarajko, Wojciech Trzeciak, Stefan Karel

od pozostałych. Bywał w świecie, więc mógł przywozić wiele standardów jazzowych i rock and rollowych. Jerzy Scheybal, który chodził wtedy do kl. 10 Ogólniaka świetnie radził sobie z aktorskim rzemiosłem. On także dostarczał z Wielkiej Brytanii coś z repertuaru „Rollingstonsów” i śpiewaliśmy po angielsku – wspomina Andrzej Tarajko. W sekcji muzycznej grali: Leszek Lichtenstein, Andrzej Tarajko, Wojciech Trzeciak, Stefan Karel, Rysiek Kosecki. Śpiewała Magda Burzyńska.



Widownia teatrzyku „Koliber” w Bochni. Od lewej: Gieniu Mucha, Rysiek Kokoszka, Siasiek Dziecharski, Jurek Kowalski, Lucyna Rybak, Krysia Urban, Romek Spisak, Anek Niwiński, Tadek Tarczydło, Maniek Robak, Maniek Przybyło, Hanka Kmak.

Czasem przychodziła starsza siostra Ryśka, Anka Kosecka-Wicher (później zawodowa tancerka) i razem ze Staszkiem Dobranowskim tańczyli na scenie. W grupie gimnastycznej akrobacje wykonywali: Kazimierz Kozłowski, Leszek Lichtenstein i Marek Kępa. W roli mima występował Tadeusz Kurkiewicz. Był nawet teatrzyk cieni. W „Dzienniku Polskim” z 15 stycznia 1963 r. pisał o tej inicjatywie bardzo ciepło red. Jerzy Freudenheim. W inauguracyjnym spektaklu wystąpili także artyści Miejskiego Teatru Muzycznego w Krakowie: Wanda Łopatówna, Krystyna Ungeheuer i J. Makohan. *Tam zawsze był dobry nastrój i można było się pośmiać* - wspomina Kazimierz Kozłowski – *ale „Koliber” został niedługo rozwiązany, bo poszła opinia, że tam grywa się jazz, a zwłaszcza rock and roll. Nie pasował on do obowiązującej polityki kulturalnej. „Teatrzyk Koliber” działający pod patronatem ZMS-u (Związku Młodzieży Socjalistycznej), w którym gra się rocka, tę największą „zgniliznę ze zgnitego Zachodu”, nie mógł dłużej istnieć. Może miejscowe władze nie rozpoznały tej muzyki - wspomina Zbyszek Furmański - aż dopiero przybył „ktoś ważny” z Krakowa, usłyszał i uświadomił tutejszy ZMS, jaką propagandę kapitalistyczną pod ich patronatem się uprawia. Było o tym dość głośno w naszym środowisku muzycznym, a Staszek miał z tego powodu chyba jakieś nieprzyjemności i kabaret się rozleciał.*

Tancerz i wodzirej

Klimat teatralno-taneczny był w „Domu Bochniaków” już w latach 70. XX wieku, a kiedy odbywały się z udziałem Staszka „bale sylwestrowo-karnawałowe Bochniaków”, już na miesiąc wcześniej biletów do „Domu Bochniaków” nie można było dostać, bo były to bale niezwykle, połączone z dobrą i dowcipną konferansjerką Doroty Ciećkiewicz. Zaczynały się zawsze polonezem prowadzonym fantastycznie, wśród serpentyn i confetti, przez maestro Dobranowskiego, potem urządzaliśmy loterie, konkursy połączone z dowcipnym wykupywaniem fantów, walce kotylinowe i tańce nowoczesne, a po północy znowu ster rządów przejmował maestro Dobranowski i prowadził bal aż do białego rana. Zawsze wybierano króla i królową balu, a na słynnym Balu Tysiąclecia na przełomie wieków wybrano jeszcze trzy księżniczki. Gościom wręczono, wymyślone przez Stasia, uroczyste certyfikaty, na pamiątkę przejścia w nowy wiek i nowe tysiąclecie.

U nas mogły zawsze się bawić jednocześnie dwa pokolenia gości i wszyscy – dzięki stylowi prowadzenia zabawy przez naszego maestro - czuli się świetnie. Grała wspaniała orkiestra Bochniaków „Kajp-Mat” pod kierunkiem Marka Piątkowskiego i Krzysztofa Stompora. Bale Bochniaków trwały najdłużej, aż do godziny 6-tej. Zaciekawieni tempem zabawy i poziomem orkiestry balowicze, wracający nad ranem z innych lokali, zaglądali nieraz do nas, witani ze staropolską gościnnością przez gospodarza balu i tradycyjnie zostawali tutaj do końca zabawy.

Ku czci Heleny Modrzejewskiej

Stanisław Dobranowski był wierny pamięci Heleny Modrzejewskiej. Zawsze podkreślał, że w Bochni urodziła syna Rudolfa i debiutowała w 1861 r. w „Białej kamelii”. Znał świetnie jej



najwierniejszą biografię, napisaną ze swadą i znajomością rzeczy przez Tymona Terleckiego „Pani Helena”. Już z końcem lat 80. ub. wieku zabiegał o utworzenie w kinie „Jutrzenka” (obecnie Oratorium św. Kingi) Sceny Teatralnej im. Heleny Modrzejewskiej, chociaż red. P. Konieczny na łamach „Tarnowskiego Echa”, w artykule „Skandal na bocheńskiej scenie – kwiatek do kufajki”, ironicznie wypowiadał się na temat „niemądrej zachcianki Bochniaków” i bezsensu wydawania

społecznych pieniędzy. Samorząd bocheński w 1992 r. uznał za słuszne postulaty St. Dobranowskiego i Bochniaków wybudowania dobrej sceny teatralnej i przeznaczył na ten cel z nadwyżki budżetowej 150 mln zł. (przed denominacją). Prace trwały 7 miesięcy przy ogromnym zaangażowaniu społecznym ówczesnej kierowniczki kina - Ireny Kupiec, Kazimierza Witka, bocheńskich rzemieślników Mariana Furtaka, Józefa Składzienia, Józefa Osiki, pod ogólnym kierownictwem Stanisława Dobranowskiego. Scena uzyskała głębię 9 metrów, a więc taką samą, jak scena Teatru Muzycznego w Krakowie z owych lat. Światło sceny miało 7 metrów i tyle samo wynosiła jej wysokość. Scena teatralna stała się pierwszą od 20 lat poważną ofertą kulturalną dla bocheńskiego społeczeństwa¹. Walczyły o nią obok Bochniaków różne środowiska, bo dawała możliwości rozwinięcia się w Bochni życia teatralnego.

Występowała na niej młodzież szkolna pod kierunkiem prof. Wandy Burzyńskiej, prof. Michaliny Pięchowej prof. Anny Londo. Trudno zliczyć, ile odbyło się na niej przedstawień „Estrady Krakowskiej”, spotkań z artystami (m.in. Zanussi, „Skaldowie”, Maryla Rodowicz, Grechuta, Wodecki), ile sztuk teatralnych (m.in. W małym dworku” Witkacego

i „Skarb” L. Staffa), spektakli operowo-operetkowych (m.in. fragmenty „Cyrulika sewilskiego” Rossiniego). Wystawiono nawet w całości operę buffo „Dzwony kornewilskie” Roberta Planquetta.

Kol.Kol. Dorota Ciećkiewicz i Dorota Korta założyły amatorski teatr młodzieżowy „Igraszka” i od 1996 r. wystawiały tutaj, ciesząc się dużym powodzeniem sztuki: „Przygody Calineczki”, „Skrzydółka”, „Nowe szaty króla”, „Złota kaczka – legenda warszawska”, „Igraszki z diabłem”². Do sztuk tych układy choreograficzne przygotował kol. Dobranowski, później robił choreografię dla Zespołu „Siedlecanie” z Siedlca nad Rabą, posiadał bowiem uprawnienia choreografa kat. I, nadane przez Wydział Kultury i Sztuki UM. Krakowa (nr 56/82).

I chociaż nie ma już Sceny Teatralnej im. Heleny Modrzejewskiej, to nadal jest pełnowymiarowa scena na której uczniowie Gimnazjum im. Św. Kingi prezentują programy i inscenizacje patriotyczne. Tutaj od dwóch lat odbywają się finały konkursów historycznych szkół z powiatu bocheńskiego, tutaj ciekawą działalność prowadzi bocheńska „Civitas Christiana”, a także odbywają się coroczne Festiwale Pieśni Maryjnej. Przyjeżdżają liczne zespoły muzyczne i soliści z całej Polski. Zapamiętajmy, że duży udział w założeniu i budowie sceny miał kolega St. Dobranowski.

On także ze skromnej emerytury ufundował w 1988 r. tablicę pamiątkową na budynku, w którym debiutowała w 1861 r. Helena Modrzejewska przy ul. Szewskiej. W tym domu odbywały się w owym czasie przedstawienia przejezdnych trup teatralnych. To tylko po latach Modrzejewska ubarwiła sobie swój życiorys, pisząc w nim o występie w jakimś fikcyjnym bocheńskim kasynie. Odsłonięcia tablicy ku jej czci dokonał w czasie Walnego Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej w 1988 r. jego przewodniczący prof. dr hab. Wacław Korta³. Dzisiaj na wyremontowanym budynku tej tablicy już nie ma, ale jest inna w formie płaskorzeźby na której uwieczniona jest postać Heleny Modrzejewskiej.

Inne tablice pamiątkowe

Z jego inicjatywy, z okazji jubileuszu 60-lecia Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, wybudowana i odsłonięta została tablica granitowa, poświęcona



Przedstawienie Teatru Roma. Stanisław Dobranowski w środku

pamięci płk dr. Tadeusza Jakubowskiego, założyciela i pierwszego prezesa Stowarzyszenia Bochniaków w 1936 r., który w 1909 r. utworzył w Bochni bocheńsko-brzeski oddział tajnej organizacji wojskowej Związku Walki Czynnej, przemianowany w 1913 r. na Związek Strzelecki, a od 1914 r. służył w sztabie 2 pułku piechoty Legionów Polskich (II Brygady L.P.) walczył w 1920 r. w wojnie polsko-bolszewickiej i był kawalerem orderu *Virtuti Militari*⁴. Materiał na tablicę pamiątkową dał nieodpłatnie Henryk Lenartowicz, członek Stowarzyszenia.

W 1996 r. zainicjował wmurowanie tablicy pamiątkowej ku czci Marii Bielawskiej na budynku Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ulicy Mickiewicza. Płyte granitową na tablicę znowu podarował kolega Henryk Lenartowicz. Stanisław Dobranowski, którego matka pracowała przez wiele lat w tej instytucji, był często w Bibliotece, która jednocześnie długo spełniała także funkcję Domu Kultury. Opowiadał, że kiedyś, jeszcze w latach stalinowskich, przyszło z Warszawy odgórne polecenie stworzenia chóru i jego udziału za tydzień w jakimś socrealistycznym przeglądzie chórów. Kłopot był wielki. Wówczas „wypożyczono członków” Chóru Koronacyjnego, którzy, udając kołchoźników, pojechali na występ pod kierunkiem impresaria Staszka Gawora i wykonali „Kantatę Kołchozową” tak brawurowo, że żaden z chórów nie potrafił im dorównać. Kolega Dobranowski zapamiętał jedną zwrotkę tej pieśni, pełnej zadumy i socrealistycznej mądrości.

Hej! Polem jedziemy,
przez zielone, przez kołchozy.
Hej! A przed nami droga się rozwija.
Hej! Stepowe ściełają nam się drogi.
Hej!, o hej, o hej
Hej! o hej!!!
itd., itd.

Rekonstrukcje zniszczonych pomników, tablic pamiątkowych i nagrobków

Z jego inicjatywy w jesieni 1988 r. i przy jego osobistym zaangażowaniu Stowarzyszenie Bochniaków przywróciło pamięci bochnian przedwojenny Pomnik Czynu Legionowego na rogu Plant i ul. Orackiej (przezwany w latach PRL-u „Pomnikiem Milicjantów”) poprzez wykonanie mosiężnego napisu w części środkowej pomnika: „Poległym za wolności w latach 1914-1920”. Prasa partyjna (pominiemy nazwisko tego pana, który to pisał)



Przed budynkiem bocheńskiego Muzeum

próbowała wtedy wzniecić awanturę, iż „bezczelnie” zamurowano wnękę z urną, w której podobno była ziemia z Oświęcimia. Koszt wykonania kilku pozostałych mosiężnych tablic przerastał wtedy możliwości finansowe Stowarzyszenia. Po wieczornej mszy świętej, zamówionej przez Stowarzyszenie, za Ojczyznę i odprawionej przez proboszcza ks. dr Karola Dziubaczkę, pod wrażeniem pięknego kazania i świadomi historycznej chwili, wszyscy przeszli pod pomnik, gdzie prezes Stowarzyszenia St. Kobiela, wygłosił przemówienie, a następnie w obecności zebranych tłumów odbył się uroczysty apel poległych. W delegacji Bochniaków wieniec niósł oczywiście kol. Dobranowski. Uroczystość ta odbyła się 11 listopada 1988 r.⁵

On był także pomysłodawcą odnowienia przez Stowarzyszenie w 1990 r. zniszczonej przez komunistów tablicy na budynku bocheńskiego Muzeum, poświęconej pamięci młodych żołnierzy z Bochni, którzy zginęli w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku. Kol. Dobranowski zgromadził z pomocą kierownika magazynu Kopalni Soli, pana Janusza Bacika, złom metali kolorowych, znalazł wykonawców i osobiście nadzorował prace, wykonywane przez pana Mieczysława Hajdeckiego (rekonstrukcja elementów kamiennych) i pana Mariana Mikułę z Brzeska (rekonstrukcja spiżowych elementów tablicy). Tablicę odtworzyliśmy na podstawie małej fotografii wykonanej przed wojną przez prof. Piotra Galasa. Także kol. Dobranowski przypomniał okoliczności zdewastowania tej tablicy w 1945 r.: *Pamiętam, że tablica w nienaruszonym stanie istniała przez całą okupację. Dopiero na wiosnę 1945 r. około dwa miesiące po ucieczce Niemców z Bochni utracono kamienną głowę i tułów orła, pozostawiając same skrzydła oraz miejsce po wyrwanych i zniszczonych spiżowych tablicach. Przypuszczam, że zrobili to funkcjonariusze NKWD, którzy w Bochni wtedy przebywali, przy pomocy instalującej się w Bochni nowej komunistycznej pseudoludowej władzy*⁶.

Kol. Dobranowski aktywnie włączył się w utworzenie w 1985 r. przy Stowarzyszeniu Komitetu Ratowania Zabytkowej Części Cmentarza Komunalnego w Bochni i organizowanie corocznych kwest na odrestaurowanie zabytkowych pomników i grobowców.

Niepokorny radny

W 1988 roku Stanisław Dobranowski wybrany został do Społecznej Rady Kultury m. Bochni na czteroletnią kadencję, a w latach 1994-1998 był radnym miejskim z komitetu wyborczego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Nie należał do malowanych samorządowców i podejmował wiele ważnych inicjatyw nie tylko w sprawie wybudowania na planach porządnej – jakże potrzebnej – fontanny, czy promowania Bochni poprzez festiwale orkiestr górniczych na Uzborni. Sukcesem zakończyły się jego konsekwentne interpelacje o utrzymanie w Bochni Państwowego Archiwum. Po przeprowadzonej wizji lokalnej w ciasnych pomieszczeniach magazynowych przy ulicy Proszowskiej, udało się zdobyć nowe locum w „Kocim Zamku” przy ul. Konstytucji 3 Maja, dzięki życzliwości właściciela secesyjnej kamienicy, pana Adama Silberringa, który zaproponował korzystne warunki finansowe i długoletni okres najmu. Uroczyste otwarcie nastąpiło w grudniu 1998 r. Tym samym zażegnano niebezpieczeństwo przeniesienia Archiwum gromadzącego zbiory z dwóch powiatów (bocheńskiego i brzeskiego) i Niepołomic do Brzeska⁷.

Jako radny, widział także codzienne problemy zaopatrzeniowe mieszkańców Bochni w 1989 r. kiedy haki w sklepach były

prawie puste, a dobrej jakości mięso i wędliny wędrowały tylko do „Konsumów” przy Plantach i przeznaczone były wyłącznie dla milicjantów i funkcjonariuszy Partii. Interpelacja Dobranowskiego z 23 maja 1989 r. zdenerwowała ówczesnego wiceprezesa bocheńskiego PSS, który skarżył się do Prezydium MRN w Bochni na niepokornego radnego: *Z opinii konsumentów nie tylko rejonu Bochni wynika, że jakość wyrobów Zakładu Masarskiego jest b. dobra i dziwi fakt, że Ob. St. Dobranowski stwierdza publicznie na sesji MRN iż: „od dłuższego czasu kielbasa zakupowana w sklepach PSS-u nie nadaje się do spożycia, jest ona 80% faszerowana słoniną i zjełczalym tłuszczem”*. W dalszej treści nie nawykły widocznie do krytyki wiceprezes żądał, aby St. Dobranowski dostarczył ekspertyzę i pokazał „na piśmie”, jakie są wskaźniki zawartości słoniny i zjełczanego tłuszczu. Przewodniczący MRN Jerzy Inwałd odpowiedział, że PSS nie może być jednostką handlową, której nie wolno zwrócić uwagi, zwłaszcza, gdy skargi na złą jakość wędlin są w Bochni coraz powszechniejsze.

Walka o herb Bochni

Kiedy Rada Miejska podjęła w 1997 r. kompromitującą uchwałę o usunięciu z herbu Bochni Orła Białego, kol. Dobranowski energicznie uczestniczył w prowadzonej przez Stowarzyszenie akcji rozplakatowania protestu na ulicach⁸. Udało się wówczas uchylić tę szokującą bochnian uchwałę. Takie same działania podjął samorząd bocheński, w trybie pilnym, bez żadnej konsultacji społecznej i mimo protestów Stowarzyszenia w 2003 roku⁹. Przegłosowana w takich okolicznościach uchwała o zmianie herbu Bochni zabolowała St. Dobranowskiego, który pamiętał jak okupant hitlerowski we wrześniu 1939 r. usuwał Orła Białego z herbu Bochni i orła w herbie nie było także w latach PRL-u.

Przypomnijmy, że na wniosek Bochniaków i „Solidarności” samorząd bocheński w 1990 r. przywrócił przedwojenny herb Bochni. Przetrwiał on, niestety, tylko przez 13 lat. Pod rzekomymi hasłami „poprawności historycznej” odrzucono piękną, bocheńską tradycję herbową. Królewskie i górnicze miasto Bochnia pozbyło się w 2003 r. symbolu władzy królewskiej. Na pamiętnej sesji w 2003 r. tylko jeden radny zdobył się na stanowczy protest. Obecnie herb z Białym Orłem ma tylko Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Używa go także na afiszach i sztandarze BKS.

Lwi pazur?

Mając pogodny charakter, potrafił nieraz „postawić się” na łamach „Wiadomości Bocheńskich”, dać mocną krytyczną analizę chybionych pomysłów samorządu bocheńskiego, jak np. niepremyślaną strategię rozwoju Bochni, świadczącą o zupełnej nieznamomości bocheńskich realiów przez utytułowanych naukowców, przygotowujących tę strategię, i bezdyskusyjny sposób jej przyjęcia przez bocheński samorząd w 2000 r., koszmarny pomysł na zasypianie sadzawki i likwidację fontanny na Plantach w 1999 r. Krytykował uprawianą do dziś politykę samorządową „Kroniki Bocheńskiej” śmiesznego i programowego „niezauważania” na jej łamach działalności Stowarzyszenia albo ważnych dla Stowa-

rzyszenia postaci w corocznych, mocno wybiórczych „Kalendarzach historyczno-rocznicowych”¹⁰. Nie zaciętrzewiał się w tej polemice, raczej kpił i żartował sobie z takich tekstów i mawiał: *Machnijmy na nich ręką*, ale nie mógł darować pomniejszania roli prezesa dr Waleriana Hansa, który reaktywował Stowarzyszenie w 1956 r. i miał ogromny udział w ściągnięciu do Bochni Walcowni Blach Transformatorowych (obecny Stalprodukt S.A.).

Niezapomniane przyjaźnie z artystami

Uczynny wobec osób starszych towarzyszył czasem prof. Stanisławowi Fischerowi w drodze z Muzeum do domu niosąc jego teczkę. Zawsze podkreślał, że gawędy z Profesorem były dla niego dużym przeżyciem. Utrzymywał dobre kontakty z bocheńskimi artystami malarzami, a zwłaszcza z Franciszkiem Mollo. Pamiątką tych spotkań jest portret olejny Stasia Dobranowskiego, namalowany przez Franciszka Mollo z piękną dedykacją dla portretowanego, a także fotografia artysty przy sztalugach, w czasie malowania tego portretu z drugą odrębną dedykacją z 7 grudnia 1960 r.: *Tak było kiedy był początek – po wielkich obopólnych trudach zdołaliśmy obaj dojść do końca – Kochanemu Stasiowi F. Mollo*. Miał wielu przyjaciół sportowców, a przyjaźnie z Władysławem Stawiarskim, Marianem Sołtysem, Aleksandrem Urbanem, gen. dr Tadeuszem Cepakiem, Januszem Łączyńskim, jeszcze z czasów pierwszego powojennego bocheńskiego klubu sportowego „Olympia-Sokół” (nazwę nadali młodzi założyciele Klubu) i przetrwały przez całe dziesiątki lat.

Mecenas sztuki

Niestrudzenie przez 12 lat, wspólnie z Mieczysławem Dębskim i Kazimierzem Kozłowskim, organizował w „Domu Bochniaków” w dniu Święta Konstytucji 3 Maja, wieczorem przy lampce wina, cieszące się dużym powodzeniem wystawy malarzy amatorów z Bochni i Ziemi Bocheńskiej. Obok ciekawych prac malarskich, wykonywanych w różnych technikach pojawiały się z czasem także rzeźby w drewnie i korze, prace hafciarskie i koronkarskie Krystyny Sojki i niezwykle obrazy ze słomy. Na wystawach prezentowano m.in. trzykrotnie prace 100-letniego Henryka Kozubskiego „wielickiego Chagalla”, z tematyką bocheńskiej i wielickiej kopalni, Michaliny Pięchowej, Doroty Ciekiewicz, Romualdy Rachwał-Urban, Krystyny Soboty-Nosek, Krystyny Szewczyk, Marii Stachury, Marii Janik, Augustyna Uryasza, Janusza Możdżenia, Andrzeja Błasiaka, Tomasza Udzieli, Jerzego Szrama, Krzysztofa Krawczyka, Jerzego Zalasiewicza, Józefa Misiaszka, Janusza Kurkiewicza i Tadeusza Kurkiewicza, a także twórców niedowidzących i niesłyszących. Komisarzem tych wystaw był zawsze Stanisław Dobranowski, który w 2001 r. wystawił także swój amatorski obraz olejny „Operetka krakowska”. Nie były to więc okazjonalne wystawy – jak napisano - ale konsekwentna, wieloletnia działalność na polu promowania artystów-amatorów. Także z jego inicjatywy Stowarzyszenie odznaczyło certyfikatami dziewięciu właścicieli bocheńskich kamienic w śródmieściu Bochni za starannie wykonane elewacje ich budynków, które podnoszą estetykę Bochni.

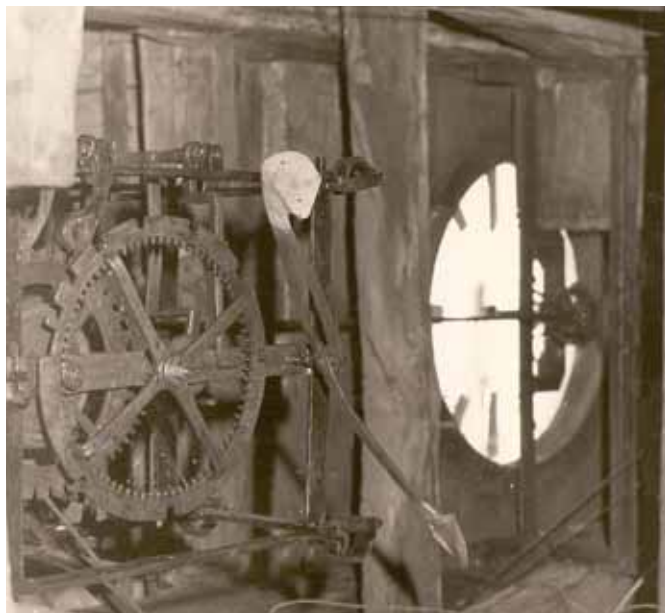


Drewniany most na Rabie

Zawsze fascynował go przedwojenny most na Rabie, w ciągu drogi Chodenice – Cikowice, a zwłaszcza jego ciekawa, drewniana konstrukcja, składająca się z filarów, przyczółków, podpór środkowych, poręczy i pomostu jezdnego. Most ten został spalony w trakcie działań wojennych I wojny światowej i nigdy nie został odbudowany. Nie zachowała się także żadna jego fotografia. W sprawie rekonstrukcji zwracał się od 2002 do ówczesnego starosty Ludwika Węgrzyna. Z inicjatywy St. Dobranowskiego dwaj uczniowie klasy V Technikum Drogowego w Bochni pod kierunkiem dyrektora Bogusława Rojewskiego wykonali, w ramach pracy dyplomowej, rekonstrukcję tego mostu w formie pięknej makiety, została zaprezentowana panu Staroście i przekazana Stowarzyszeniu Bochniaków¹¹.

Ten zegar stary

Na budynku salinarnym przy Plantach, w którym kilka lat temu istniało Studium Medyczne znajduje się XVII-wieczny zegar połączony z dzwonem, wykonany podobno w bocheńskiej manufakturze. Wybił kwadranse i godziny. Na początku lat 80. XX w. miejscowy zegarmistrz Zdzisław Bartosz,



Mechanizm zegara na budynku salinarnym przy ulicy Regis 1 vis a vis kościoła parafilanego

przeprowadził pełny remont zegara, ale zegar nie chodził, ponieważ należało go codziennie nakręcać, a nikt nie miał na to ochoty. Red. Jan Salamon w „Dzienniku Polskim” 8 kwietnia 1983 r. pisał o tym zabytkowym zegarze – podobno przeniesionym z zamku żupnego, a nawet datował go na 1666 rok, a w nr 11-13 września 1992 r. na łamach „Czasu” odnotował, że z inicjatywy Stanisława Dobranowskiego odnowiona została tarcza zegarowa, mechanizm zakonserwował zegarmistrz Józef Serafin, złotą farbę dał Bochniak z Niemiec Jerzy Wertepny. Od tego czasu Stanisław Dobranowski codziennie sumiennie i niestrudzenie nakręcał zegar. Świetnie znał mechanizm tego zegara i zegara magistrackiego. Poszukiwał także jeszcze jednego zegara z bocheńskiego zamku żupnego. W tym całkowicie społecznym zaangażowaniu była w nim siła woli Gerwazego z „Pana Tadeusza” i spryt Skołuby ze „Strasznego Dworu”.



Nestor Stowarzyszenia i gospodarz „Domu Bochniaków”

Aktywnie uczestniczył w nadzorowaniu remontu kapitalnego „Domu Bochniaków” w połowie lat 80. XX wieku i wszystkich późniejszych prac remontowych i zabezpieczających ten zabytkowy budynek „Pod Okiem Opatrzności Bożej”, łącznie z odnowieniem elewacji „Domu Bochniaków” w 2008 r. To on i Adam Michałowski, dyrektor ZBK (generalny wykonawca remontu), zauważyli w 1986 r. ślady ołtarza w jednej ze ścian, który prawdopodobnie istniał w latach 1824-1826 kiedy rezydował w tym budynku biskup Grzegorz Ziegler, co później potwierdził prof. dr hab. Piotr Gajda z Seminarium Duchownego w Tarnowie¹².

Stanisław Dobranowski był skromnym i zawsze oddanym Stowarzyszeniu działaczem. Nigdy nie eksponował swojej faktycznej, twórczej roli w Stowarzyszeniu. Aż do śmierci pełnił



Nad pięknym modrym Dunajcem (S. Dobranowski w środku)



W Domu Bochniaków: S. Dobranowski, S. Kobiela, K. Piec, G. Łopatko, M. Komasa, nm, L. Haba. (Początek lat 80. XX wieku)

funkcję członka Zarządu Głównego. Przez kilka kadencji był wiceprezesem Stowarzyszenia. 15 września 2007 r. uhonorowany został przez XXIII Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Bochniaków godnością nestora Stowarzyszenia. Był dobrym i starannym gospodarzem „Domu Bochniaków”. Z oddaniem pełnił codzienne dyżury w „Domu Bochniaków”, aż do śmierci.

Regionalne kontakty

Uczestniczył w „Domu Bochniaków” w spotkaniach z innymi organizacjami społecznymi. Zawsze elegancki, stwarzał serdeczną atmosferę i zjednywał dla Stowarzyszenia wielu sympatyków z Krakowa, Wieliczki, Chybia, Gdańska, Mińska, Heify i Tel Avivu, Kalifornii i innych stron świata. Na spotkaniu z niemieckimi gośćmi z Saarlouis w kwietniu 2007 r. mówił biegle po niemiecku, a olśnił gości, porywając do walca piękną i uroczą partnerkę.

Nieraz przyszło mu spełniać nieformalną rolę przewodnika. Chociażby wtedy – wspomina Ewelina Mroczek - gdy przyjechała młodzież z Izraela. Przydała się jego znajomość niemieckiego, losów bocheńskiej społeczności żydowskiej i talent sugestywnego opowiadania. Na pożegnanie bocheńskiemu cicerone goście urządzili wspólną owację.

Pamięć do ciekawych historii i epizodów historycznych

Dzięki jego dobrej pamięci i interesującym relacjom udało się utrwalić wiele szczegółów z lat międzywojennych i okupacji hitlerowskiej w Bochni. Mogliśmy więc odtworzyć tragiczną śmierć Żyda Haskla w pierwszych dniach września 1939 r. opisaną przez J. Suberlaka¹³ i wiele dramatycznych epizodów wojennych i powojennych. Znał liczbę i nazwy przedwojennych sklepów polskich i żydowskich w Bochni, wewnątrz cukierni Tomasza Sowieńskiego, restauracji Seiferta z pięknymi obrazami Fałata, Makowskiego, Klimowskiego, Stasiaka i Mollo. Pamiętał zapachy t.zw. sklepów kolonialnych Tarczałowicza, Olszewskiego, Geratowskiego i „cynamonowych” żydowskich, np. Żyda Kanarka, w którym *unosił się aromat owoców tropikalnych świeżych i kandyzowanych, lukrów, a zwłaszcza wielu odmian herbat i słynnej kawy „Hag”*. Zapamiętał nawet reklamę: „Kawa Hag chroni twoje serce”. Potrafił świetnie opisać przedwojenne wystawy sklepowe np. witrynę pasmanterii „Ninella” koło dzwonnicy¹⁴. Miał wybitny

dar zapamiętywania i przekazywania swojej wiedzy w sposób lekki i żartobliwy. Pozostawił w „Domu Bochniaków” wykaz prawie wszystkich przedwojennych sklepów bocheńskich. Był współautorem ciekawych artykułów publikowanych na łamach „Wiadomości Bocheńskich” poświęconych siedmiu wzgórzom Bochni, przedwojennemu handlowi i jarmarkom bocheńskim, życiu artystycznemu w mieście. Jeden z nich z 1997 roku publikujemy poniżej.

Przypisy:

¹ Wcześniej rolę tę pełniła sala redutowa nad bankiem przy ul. Kazimierza Wielkiego, zamieniona przejściowo na bibliotekę, a potem przeszła we władanie banku, zob. *Scena*

Teatralna im. Heleny Modrzejewskiej w Bochni, „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/1992).

² Stanisław Dobranowski, *Złota kaczką*, „Wiadomości Bocheńskie” nr 2/1997

³ Zdjęcie z odsłonięcia opublikowaliśmy w nr „Wiadomości Bocheńskie”

⁴ St.Kobiela, *Bochniaci na szlaku legionowym* „Wiadomości Bocheńskie” nr 1-2/1989

⁵ *Pomnik Czynu Legionowego* „Komunikat” Stowarzyszenia B i MZB – grudzień 1988

⁸ St.Kobiela. *Przywracanie pamięci* – „Wiadomości Bocheńskie” nr 2-3/2010

⁷ St. Dobranowski, *Archiwum bocheńskie w „Kocim Zamku”*. „Wiadomości Bocheńskie” nr 4/1998

⁸ *Degradacja herbu Bochni, Dalsze protesty herbowe* – „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/1998,

⁹ J. Potasz, *Nowe propozycje herbowe, Protest Bochniaków w sprawie zmiany herbu Bochni* –

„Wiadomości Bocheńskie” nr 2-3/2003, *Herb Wrocławia* – „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/1008

¹⁰ *Strategia rozwoju Bochni* (W.B. nr2/2000), *Fontanna* (W.B. nr 2/1999), *Kronika w*

„*Kronice*” (W.B. nr 1/1998 (o braku pełniejszej informacji biograficznej o dr Walerianie Hansie i innych działaczach Stowarzyszenia)

¹¹ Bogusław Rojewski, *Most na Rabie. Dyplomy 2004 w Budowlance*. „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/2004.

¹² ks.prof. dr hab. Piotr Gajda, *Dom Bochniaków. Pod Okiem Opatrzności Bożej* „Wiadomości Bocheńskie” nr 2/1998.

¹³ Jerzy Suberlak, *Haskel* „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/1993.

¹⁴ *Handel i handele w przedwojennej Bochni* (art. zbiorowy) „Wiadomości Bocheńskie” nr 1/1996.

Stanisław Dobranowski i Stanisław Kobiela

Fantazja i rzeczywistość

Franciszek Mollo należał do tej kategorii artystów, których twórczość i całe życie pełne były wzlotów i upadków. Był postacią, która na trwałe utkwiła w pejzażu Bochni lat 50. i 60. naszego stulecia (artykuł powstał 1 kwietnia 1997 r.), człowiekiem interesującym i pełnym fantazji. Mieszkał w „żółtej” kamienicy Morońskich przy ulicy Orackiej. Skromnie, ale elegancko ubrany, w idealnie odprasowanym garniturze i wygłancowanych pastą „Erdal” butach czynił wrażenie człowieka pedantycznego i niezwykle dokładnego. Motylek, barwny krawat bądź apaszka na szyi i pokryte cienką warstwą brylantyny włosy kunsztownie ułożone czyniły na mijających go na plantach przechodniach sympatyczne wrażenie. Ale nie tylko zewnętrzne oznaki szyku paryskiego świadczyły o jego artystycznych upodobaniach. Było coś rozwichrzonego w jego naturze, co zbliżało go jeszcze bardziej do bohemy Montmartr’u.

Lubił obserwować typy ludzkie w restauracji „Na Schodkach” w rynku. Był przeciw jej stałym bywalcom. Korzystał z poczęstunków stawiających mu drinki przyjaciół, ale nieraz za uprzejmość musiał odwdzięczać się obrazami. Bardzo jednak nie lubił, gdy ktoś zmuszał go do malowania. Ambiwalentny w poczuciu własnej ambicji nieraz obrażał się bardzo. Wszystkie jednak plany najbardziej wyrafinowanej zemsty ginęły w przeświadczeniu własnej bezsilności, wynikającej z braku gotówki.

Znany i ceniony w środowisku bocheńskich malarzy miał też inne niezwykle znajomości. Nieraz widziano go w upalne letnie dni. Jak przemierzał bocheński rynek w towarzystwie ks. Alojzego Skibniewskiego, a obaj osłaniali się od gorących promieni słonecznych jednym, wielkim czarnym parasolem. Ale i ta przyjaźń skończyła się, gdy pewnego razu ks. Skibniewski ofiarował mu na imieniny komplet chusteczek do nosa. Prezent ten potraktował jako drwinę.

Wróćmy jednak do restauracji „Na Schodkach”. Wrażliwy jak mimoza, był jednak niewrażliwy na ilości wlewanego w siebie alkoholu. Potrafił zachować jednak zawsze równowagę, nawet po najbardziej suto zakrapianym obiedzie lub kolacji. Spotykał się przy jednym stoliku z bocheńskim kamieniarzem, niejakiem Sikorą, w pewnym sensie „artystą” w kamieniarskiej obróbce grobowców. Może nawet Sikora uważał się za lepszego artystę, bowiem kiedy Mollo z trudem wiązał koniec z końcem, to portfel Sikory zawsze był pełny żywej gotówki, pochodzącej z jego „artystycznej” profesji.

Jako koledzy po fachu, byli więc serdecznymi przyjaciółmi. Sikora nie miał jednak tak silnej głowy jako Mollo, więc wolał słodkie wino bardziej od wódki, ale i tak po wyjściu z restauracji niejednokrotnie świat wydawał mu się dziwnie groteskowy, abstrakcyjny i niezrozumiały.

Pewnego popołudnia, po takim właśnie obiedzie obaj panowie wyszli z lokalu. Sikora spojrzał na pomnik Kazimierza Wielkiego i trzy najpiękniejsze kamieniczki bocheńskiej starówki i nie mógł zrozumieć, co się stało. Wszystko wirowało wokół niego, kamieniczki wydymały się i kołysały, a wokół królewskiego patrona naszego miasta biegał piesek w kolorze trawy. Spojrzał jeszcze raz, potrząsnął głową, osłonił oczy ręką i naraz huknął w ucho swojego przyjaciela:

*Królowo Niebios!
A zielonego pieska widziałeś?*

Mollo zignorował pytanie koncentrując uwagę na bezpiecznym zejściu ze schodków na ulicę. Minęła chwila milczenia, więc Sikora jeszcze głośniejszym i z irytacją w głosie powtórzył pytanie:

A zielonego pieska widziałeś???

Wrażliwość artystyczna Franciszka Mollo została nadwyrężona, a ponieważ miał pamięć niemal fotograficzną i do tego umiał wczuwać się w artystyczne wizje swoich nie zawsze taktownych fundatorów, przeto postanowił odplacić Sikorze pięknym za nadobne.

Może dwa lub trzy tygodnie później na zaproszenie pani Marii Bielawskiej, która w jednym ręku dzierżyła funkcję dyrektora Biblioteki i Domu Kultury, Franciszek Mollo urządzał wystawę swoich dzieł. Niemal w ostatniej chwili przyniósł na wystawę wilgotny jeszcze od farby olejnej obraz, którego reprodukcję obok zamieszczamy i powiesił go na najbardziej honorowym miejscu. Na kilka dni wcześniej przed otwarciem wystawy wręczył osobiście zaproszenie swojemu koledze z restauracyjnego stolika.

Pani Maria Bielawska umiała organizować kulturalne imprezy. Otwarcie wystawy odbyło się więc z niezwykłą pompą. Były kwiaty dla artysty i serdeczne słowa powitania. Reprezentanci bocheńskiej palestry, świata lekarskiego i pozostałej śmietanki towarzyskiej odpowiedzieli brawami na piękne słowa Pani Kustosz. Dopiero, gdy rozpoczęli oglądać wystawę przybył spóźniony, ale odświętnie ubrany Sikora. Zobaczył, że goście ze szczególnym zainteresowaniem zgromadzili się przed jednym z obrazów i żywo go komentowali. Przecisnął się i on w tym kierunku i oto ujrzał samego siebie w otoczeniu kilku zielonych piesków, tańczących na tle pomnika i kołyszących się kamieniczek. Oniemiał z wrażenia i wtem usłyszał nad uchem wypowiedziane wprawdzie szeptem, ale wyraźnie, słowa:

A zielonego pieska widziałeś?

Spojrzał za siebie, a syty zemsty Mollo wmieszał się w tłum gości i zniknął mu z pola widzenia.

Obraz ogromnie wszystkim się spodobał. Od razu kupił go „na pniu” mec. Stefan Bierowski, płacąc autorowi godziwą cenę. Na drugi dzień bywalcy restauracji dowiedzieli się od samego Sikory:

Będzie proces. To nie ujdzie mu na sucho. Nie daruję temu draniowi.

Do procesu jednak nie doszło. Jeszcze tego dnia panie kelnerki pogodziły zwaśnionych przyjaciół. Ty razem stawał Mollo, bowiem dzięki artystycznej wizji Sikory miał w portfelu większą gotówkę. Później namalował jeszcze kilka replik tego obrazu i stan jego finansów poprawił się na pewien czas.



Roman Kucharski (Radłów)

Rodzina Vetulanich i jej związki z Bochnią



Cmentarz komunalny w Bochni jest jednym z najstarszych cmentarzy w Małopolsce. Założony został wcześniej niż Cmentarz Rakowicki i Stary Cmentarz w Tarnowie. W najstarszej jego części jest wiele cennych zabytkowych nagrobków. Patrząc na zachowane napisy i tablice nagrobkowe znanych mieszkańców Bochni, którzy swoją pracą, wiedzą, działalnością zapisali się w historii tego pięknego miasta i w pamięci kolejnych pokoleń. W październiku 2013 roku odwiedziłem ten bocheński cmentarz. Szukałem grobów zasłużonych działaczy bocheńskiego Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej, działającego w latach 1900-1939. Całkiem niespodziewanie moją uwagę zwrócił stary nagrobek z piaskowca z wrytym nazwiskiem Michał Vetulani. Tej właśnie rodzinie poświęcam ten artykuł, bo zasługuje ona na przypomnienie.

Vetulani – to nazwisko pochodzenia włoskiego o rodowodzie etruskim – wyjaśnia prof. Jerzy Vetulani – czyli wywodzi się z czasów wcześniejszych niż rzymskie. Rodzina pochodzi z miejscowości Vetulonia, która istniała już w czasach etruskich. W pięknej Toskanii były liczne kopalnie soli i marmuru i większość mieszkańców związana była zawodowo z tymi kopalniami. Przodkowie tej rodziny byli geologami. Jeden z nich przybył do Polski w połowie XVIII wieku i na zlecenie rządu austriackiego prowadził w Tatrach badania geologiczne. Jego syn Jacobus urodził się w Chochołowie, co potwierdza jego metryka chrztu z 1752r. zachowana w starym chochołowskim kościele.

Wawrzyniec Vetulani i Ludwik Vetulani to pierwsze nazwiska z tej rodziny odnalezione w księgach metrykalnych parafii w Bochni. Bardziej szczegółowe dane pojawiają się jednak przy nazwisku Jakub Vetulani (1752-1816) Był on sztygarem w c.k. (c.k. steigerem) w bocheńskiej salinie. Musiał mieć jakieś zasługi w tej pracy, skoro jego imię nosi jedna z komór solnych w tej kopalni. Ożenił się z Marianną Węgierkiewicz. Z tego małżeństwa urodziło się kilkoro dzieci. Byli to kolejno: Franciszka (zamężna Goldberg), Anna (zamężna Błońska), Teresa, Alojzy, Michał, Ludwik, Krystyna (zamężna Przyna), Jakub (pracował w bocheńskiej kopalni jako wagowy) i Magdalena Vetulani (1802-1838), która wstąpiła do zakonu sióstr benedyktynek w Staniątkach.

Patrząc na rozgałęzione drzewo genealogiczne rodziny Vetulanich, zauważyć można, że najbardziej znaną i największą gałęzią tej rodziny jest ta, wywodząca się od jednego z synów Jakuba Vetulaniego tj. od wspomnianego wyżej Michała.

Michał Vetulani urodził się 19 września 1806 r. w Bochni (zmarł w 1879 r.). Mając 33 lata ożenił się z 20-letnią Franciszką ze Śliwińskich, córką Jana i Apolonii Prymusińskiej. Ślub ich odbył się 19 lutego 1840 r. w kościele w Bochni. Świadcami byli: Piotr Daniec – c.k. kancelista i Wojciech Grubenthal – oficjalista salinarny. Michał Vetulani pracował w kopalni soli jako kontroler. Z małżeństwa z Franciszką urodziły się dzieci: Aniela (zamężna Kocwa, jej wnuk Aleksander Kocwa był później profesorem chemii na UJ), Jan, ożeniony z Czerską, Roman, profesor gimnazjalny w Sanoku, Franciszek (c.k. inżynier krajowy), Józefa (zamężna Drozda)

Syn Roman Vetulani urodził się w Bochni 3 sierpnia 1848 r. Tu uczęszczał do szkoły powszechnej i do Gimnazjum. 19 listopada 1887 r. zawarł związek małżeński z Matyldą Pisz, córką Wawrzyńca Pizsa, znanego bocheńskiego drukarza i księgarza oraz Marianny Krawczyńskiej. Ich ślub odbył się w kościele w Bochni, a świadcami byli Władysław Pisz – brat Matyldy i Jan Vetulani, brat Romana. W 1889 r. urodził się im syn Kazimierz, późniejszy profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, zamordowany przez hitlerowców w 1941 r. wraz z grupą profesorów tego Uniwersytetu.



Roman Vetulani

Matylda zmarła 15 grudnia 1891 r. mając zaledwie 30 lat. Została pochowana w rodzinnym grobie Piszów w Bochni, obok swoich rodziców i dwóch braci. Grób ten znajduje się blisko starej kaplicy cmentarnej, po jej lewej stronie.

Profesor Roman Vetulani jako wdowiec ożenił się po paru latach z Elżbietą z Kunachowiczów. Mieszkali w willi Zaleskich w Sanoku. Z tego małżeństwa urodziło

się pięcioro dzieci: Zygmunta, Tadeusza, Adama, Marię i Elżbietę zmarłą w 1921 r.

Zygmunt Vetulani (1894-1942) był ekonomistą i konsulem generalnym RP w Kaliningradzie, Bagdadzie, Wiedniu, Stambule, Bukareszcie i Rio de Janeiro. Żonaty był ze Stanisławą Waśniewską. Mieli dwoje dzieci: syna Romana, który zmarł w dzieciństwie i córkę Wandę. Zygmunt Vetulani w czasie wojny reprezentował Rząd RP na Uchodźstwie. Zginął w wypadku w Rio de Janeiro w 1942 r. Tam także mieszkała jego córka Wanda.



Tadeusz Vetulani

Tadeusz (1897-1952), drugi syn prof. Romana Vetulaniego urodził się 13 marca 1897 r. w Sanoku. Był wybitnym polskim biologiem i zootechnikiem. Tytuł profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Poznańskiego w zakresie szczególnej hodowli zwierząt uzyskał w 1935 r. Pracował też na Uniwer-

sytecie Stefana Batorego w Wilnie (1931-1935). Dzięki swei badaniom naukowym do literatury hipologicznej wprowadził określenie "konik polski", wywodzący się od dzikiego konia. Był inicjatorem założenia Rezerwatu Konika Polskiego w Puszczy Białowieskiej, a w 1936 r. Zwierzyńca Koników Polskich i prowadzenia prac hodowlanych nad restytucją tarpana leśnego i badań nad konikiem polskim. Doprowadził do tego, że puszcza odzyskała swojego dawnego mieszkańca dzikiego konika leśnego tzw. tarpana, małego, myszowatego konika z ciemnymi pręgami na nogach jak u zebry, bielejącymi na zimę. Żył one w XVIII wieku, a ostatni ich przedstawiciele Ordynacja Zamoyskich rozdała chłopom biłgorajskim. W 1949 roku Tadeusz Vetulani otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Żonaty był z Marią Godlewską. W 1950 r. urodził się ich syn Zygmunt. Prof. Tadeusz Vetulani zmarł 24 lutego 1952 r. w Krakowie na zawał serca, gdy dowiedział się, że w wyniku zawiści, rezerwat jego został rozwiązany, a on stracił pracę. Pochowany został na Cmentarzu Rakowickim. Jego syn prof.dr hab. Zygmunt Vetulani pracuje na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu na wydziale matematyki i informatyki, zaś żona jest profesorem romanistyki na tymże Uniwersytecie. Natomiast drugi syn prof. Jean Paolo Vetulani pracuje na Uniwersytecie w Bolonii.



Adam Vetulani



Irena Latinik-Vetulani

Adam Vetulani (1901-1976), trzeci syn Romana i Elżbiety urodził się w Sanoku. Tam też uczęszczał do szkoły powszechnej i do gimnazjum. Maturę zdał w Wiedniu w 1917 r. Po maturze zgłosił się "z głodu" na ochotnika do c.k. armii austriackiej i walczył na froncie włoskim. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1919-1923. W roku 1920 walczył w wojnie z bolszewikami. Został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. W latach 1924-1925 odbył aplikację sędziowską i w 1925 r. obronił doktorat z dziedziny prawa. Uzupełniał studia na Uniwersytecie w Strasburgu i tam opublikował znakomitą monografię z zakresu dziejów kapituły generalnej w Strasburgu. W 1928 r. habilitował się i został docentem. W 1934 r. uzyskał nominację na profesora nadzwyczajnego i objął katedrę Prawa Kościelnego UJ. W 1927 r. poślubił Irenę Latinik, córkę gen. Franciszka Latinika dowódcy 100 pułku piechoty tzw. Cieszyńskiego. Jego pułk brał udział w

bitwie gorlickiej 2-3 maja 1915 r. walcząc na pierwszej linii. Rosyjskie okopy żołnierze zdobywali w walce na bagnety. Irena Latinik była doktorem filozofii. 18 stycznia 1945 r. w ostatnim dniu okupacji niemieckiej w Krakowie otworzyła okno i wtedy nastąpił wybuch pocisku, który ranił ją odłamkiem w głowę. Kilka miesięcy była sparaliżowana. Duży kawałek żelaza miała w głowie aż do śmierci. Miała kłopoty z chodzeniem i ograniczone pole widzenia. Mimo tego prowadziła aktywne i wartościowe życie i była przykładem heroicznej walki z nieszczęściem. Zmarła w 1976 r.

Prof. Adam Vetulani był aktywnym działaczem ruchu ludowego już w okresie międzywojennym. Współpracował ze znanymi profesorami, którzy także działali w ruchu ludowym: prof. Franciszkiem Bujakiem, prof. Stanisławem Pigoniem, prof. Stanisławem Kotem. Utrzymywał bliskie kontakty z mec. Stanisławem Mierzwą, współpracownikiem Witosa. Był w gronie gości na ślubie i weselu mec. Mierzwy z Heleną Ściborowską 22 lutego 1936 r.

Walczył w wojnie obronnej 1939 r. Po kapitulacji polskich dywizji na Kresach Wschodnich, przeszedł z częścią wojska do Rumunii. Pewien czas kierował referatem oświatowym przy Ambasadzie Polskiej w Bukareszcie i pracował w Obywatelskim Komitecie Niesienia Pomocy Uchodźcom z Polski. Starał się także bezskutecznie o uwolnienie aresztowanych w Krakowie profesorów w Sonderaktion Krakau. Później walczył w II Dywizji Strzelców Pieszych we Francji wzdłuż linii Maginota. Odznaczony został francuskim Krzyżem Wojennym. Internowany do Szwajcarii, był tam twórcą i kierownikiem Uniwersytetu dla internowanych żołnierzy polskich w Madiswil koło Berna.

Po wojnie powrócił do Krakowa. W 1946 r. został profesorem zwyczajnym na UJ. W latach 1946-1948 był dziekanem Wydziału Prawa. Po śmierci Witosa powołany został w skład Komitetu dla Uczczenia Pamięci Wincentego Witosa, a później w skład Komitetu Budowy Uniwersytetu Ludowego na Ziemi Krakowskiej. Działając w ruchu ludowym nigdy nie zabiegał o stanowiska, a starał się pomagać studentom zrzeszonym w PAML.

W latach 1947 – 1970 kierował Katedrą Historii Państwa i Prawa Polskiego. Związany z PAN i PAU. Był doktorem honoris causa kilku Uniwersytetów: w Strasburgu, Nancy, Pecs, ale ze względu na jego bezkompromisowe poglądy władze PRL-u nie pozwoliły mu wyjechać za granicę w celu odebrania doktoratów *honoris causa*. W 1956 r. razem z prof. Adamem Krzyżanowskim usiłował bez rezultatu odtworzyć Polską Akademię Umiejętności. Nie ukrywał dobrych relacji z Kurią Metropolitalną w Krakowie i przyjaźnił się z Karolem Wojtyłą, który pod jego kierunkiem napisał i obronił pracę doktorską. W 1971 r. przeszedł na emeryturę, mimo tego od 1975 r. prowadził wykłady z historii prawa kościelnego na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie. Jego dorobek naukowy obejmuje ok. 350 pozycji z różnych tematów historii prawa.

Prof. Adam Vetulani zmarł 25 września 1976 r. Kardynał Karol Wojtyła pamiętał o swoim profesorze. Cenił go za skromność, prawy charakter i za ogromny wkład pracy naukowej w badaniach historii Kościoła i prawa kościelnego.

cielnego. Przewodniczył jego uroczystości pogrzebowej 1 października 1976 r. Mec. Stanisław Mierzwa w swoich "Zapiskach-dzienniku" pod datą 1 października 1976 r. zapisał: *Jadę do kościoła św. Anny na mszę św. za duszę śp. Adama Vetulaniego. Kościół pełen ludzi, dużo znajomych osobistości. Mszy św. Przewodniczy kardynał Karol Wojtyła w asyście 8 księży. W kazaniu wspominał Profesora, Jego zasługi na Uniwersytecie Jagiellońskim i to, że zabiegał o przywrócenie po wojnie Wydziału Teologicznego. Zawsze był ofiarny, wierny powołaniu, walczył o tożsamość Polaka. Kazanie było krótkie, ale mocne w treści... Na cmentarzu masa ludzi, biskupi, dziesiątki księży, kleryków, sióstr zakonnych, ludzie nauki, działacze ruchu ludowego ze sztandarami. Ceremonię pogrzebową prowadzi kardynał Karol Wojtyła, obok niego trzech biskupów. Jest dziekan Wydziału Prawa UJ Kazimierz Buchała. Prokurator Skalski, dużo młodych sędziów Przemawiał prof. Grodziski, wychowanek Profesora, adwokat Józef Marcinkiewicz działacz ludowy i inni. Kraków godnie pożegnał wybitnego Profesora i szlacheckiego człowieka. Z obranej drogi życiowej nigdy nie zбочzył, zasad którymi kierował się w życiu nigdy nie złamał.*



Jerzy Vetulani Rodzinne naukowe tradycje kontynuuje syn Adama prof. Jerzy Vetulani urodzony w 1936. Jako profesor UJ w dziedzinie nauk przyrodniczych prowadzi m.in. badania nad tajnikami ludzkiego mózgu. Jest członkiem PAN, PAU, doktorem *honoris causa* Indian Academy of Neuroscience, Śląskiego Uniwersytetu Medycznego i Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, autorem kilkuset prac badawczych o międzynarodowym zasięgu, współtwórcą hipotezy -downregulacji jako mechanizmu działania leków przeciwdepresyjnych. Jest jednym z najczęściej cytowanych naukowców polskich w dziedzinie biomedycyny. Przez ponad dwie dekady był redaktorem naczelnym czasopisma "Wszecławiat". Do dzisiaj jest świetnym popularyzatorem nauki.

Był jednym z twórców "Pawnicy pod Baranami", cennionym wykładowcą i naukowcem. Żonaty z Marią z Pałaków. Ich syn Tomasz mieszka obecnie w Holandii, jest artystą malarzem. Drugi syn Marek pracuje w Krakowie.

O prof. Jerzym Vetulanim często można przeczytać, że *ma osobowość prawdziwie renesansową. Jest absolutnie niekwestionowanym autorytetem, światowej sławy uczyonym, istnym neuroentuzjastą, który przy okazji potrafi wytrysnąć taką kaskadą dowcipu i humoru, że niech się chowają wszyscy anegdotycy!* Na stronie internetowej www.matura1952.pl znajdują się ciekawe wspomnienia prof. Jerzego Vetulaniego, a także kilka jego cennych myśli, np. ta z 2008 r.: "Najgorzej dzieje się, kiedy do interpretacji danych naukowych zabierają się ideolodzy", albo tak ciekawe spostrzeżenie: "Nie ma znaczenia koincydencja, że skądajacych się na dane słowo. Ważne jest tylko to, żeby pierwsza i ostatnia litera były na swoim miejscu; przeto mogły być w całkowitym niedziale, a mimo to nadal nie powinniśmy mieć problemów z przeczytaniem tego tekstu".

Początek tarnowskiej linii rodziny Vetulanich dał Franciszek Vetulani, syn Michała i Franciszki, urodzony 15 listopada 1856 r. w Bochni. Tutaj został ochrzczony w kościele św. Mikołaja. 8 grudnia 1856 r. Chrzestnymi byli: Marcin Kępiński, Marian Piach i Franciszek Goldberg. Szkołę powszechną ukończył w Bochni. Następnie studiował i uzyskał tytuł inżyniera budownictwa i urządzeń wodnych. W latach 1887-1893 był kierownikiem biura do spraw melioracji w Tarnowie. Zajmował się regulacją tych rzek, które nie miały obwałowań i stwarzały zagrożenie powodziowe. Ożenił się z Katarzyną Iphorską Lenkiewiczówną, córka starosty z Sambora Inocentego Lenkiewicza. Mieszkali w pięknym domu przy ul. Chopina 8 w Tarnowie, który wybudował inż. Franciszek Vetulani (obecnie przedszkole nr 3). Mieli czworo dzieci : Stanisława Ludwika (ur.1892) Marię Romanę (ur.1898), Zofię i Cecylię. Około 1905 r. sprzedali dom w Tarnowie i przenieśli się do Krakowa, a w 1912 r. do Lwowa. Po wybuchu wojny zamieszkali w Dolinie Kościeliskiej a potem w Zakopanem. Tam zmarła żona Katarzyna W 1916 r. inż. Franciszek Vetulani powrócił do Tarnowa, gdzie został kierownikiem ekspozytury budowlanej. Kierował odbudową wsi i miasteczek zniszczonych w czasie działań wojennych. Jego córka Maria Romana ukończyła w 1918 r. Prywatne Gimnazjum im. R Orzeszkowej w Tarnowie, gdzie działała aktywnie w harcerstwie. Rozpoczęła studia medyczne, ale na wiadomość o walkach we Lwowie, obcięła krótko włosy i w męski przebraniu udała się na front walki w obronie polskiego miasta. Była telegrafistką. Po wojnie studiowała i w 1923 r. wyszła za mąż za inż. Bogdana de Nisau. Wkrótce urodził się im syn Witold. Przerwała studia i wyjechała z dzieckiem do Chorzowa, gdzie pracował w fabryce jej mąż. W 1935 r. powróciła do Warszawy. We wrześniu 1939 r. mieszkanie Marii przy ul. Dobrej 13 zostało zburzone. Zamieszkała więc z synem Witoldem w mieszkaniu siostry, która opuściła Warszawę. Po kapitulacji stolicy mając przygotowanie medyczne pomagała opatrywać rannych. Pracowała w konspiracji jako łączniczka. Miała pseudonim "Maryna". Syn przewoził broń. W czasie powstania warszawskiego "Maryna" walczyła jako żołnierz w obronie ważnego punktu oporu Wytwórni Papierów Wartościowych. Została tam ciężko ranna, miała połamane żebra, i liczne rany twarzy i poparzenia. Zabrano ją do powstańczego szpitala przy ul. Długiej. Po zdobyciu tej dzielnicy Niemcy dokonali masakry rannych powstańców. Tych, którzy mogli chodzić rozstrzelali na dziedzińcu. Ciężko rannych dobijali strzelając im w głowy. Sale oblewali benzyną i podpalali. Wśród zamordowanych w tym szpitalu była Maria z Vetulanich de Nisau. Jej syn Witold w walkach powstańczych został ranny. Dwukrotnie odznaczony był Krzyżem Walecznych. Po wojnie ukończył studia inżynierskie. Ożenił się i miał dwie córki.

14 grudnia 1974 r. w III LO w Tarnowie odbyła się szczególna uroczystość. Drużyna harcerska przyjęła za swoją patronkę Marię Vetulani, która przed laty tworzyła tarnowskie harcerstwo. W uroczystości tej uczestniczył jej syn Witold z córką Kalinką i prof. dr hab. Adamem Vetulanim, który był kuzynem Marii. 29 kwietnia 1983 r. jedna z ulic (w dzielnicy Tarnów-Mościce- Zbylitowska Góra) otrzymała imię Marii Vetulani de Nisau. Jej dwie siostry

Zofia i Cecylia mieszkały po wojnie w Olsztynie. Nie były zamężne.

Liczni potomkowie Jakuba Vetulaniego, bocheńskiego sztygara dołączyli do grona wybitnych ludzi nauki, polityki. Przynoszą zaszczyt Bochni. Zasłużyli na naszą pamięć i wspomnienie

Roman Kucharski

Bibliografia:

1. Archiwum Diecezji w Tarnowie; metryki ślubu 1840 parafia Bochnia,

2. Archiwum Diecezji w Tarnowie; metryki chrztu 1861. Matylda Pisz ur. 10.02.1861 w Bochni, ochrzczona

29 marca 1861 r. Jej rodzice: Wawrzyniec Pisz, s. Jana i Marianny Bakuczyńskiej, matka: Marianna z Krawczyńskich, córka Michała i Wiktorii Ziębińskiej. Chrzestnymi byli: Franciszek Hahn nauczyciel., Marianna Hanzanek

3. Muzeum W. Witosa: Stanisław Mierzwa-Zapiski (dziennik) 1976

4. Archiwum Diecezji w Tarnowie: metryki chrztu 1856, parafia Bochnia

5. Maria Żychowska, *Maria Vetulani de Nisau*. Rocznik Tarnowski.

6. Archiwum Parafii Św. Mikołaja w Bochni. Metryka ślubu Matyldy Pisz i Romana Vetulaniego 19.11.1887

Janusz Żarek

„Podróże kształcą i uczą tolerancji”

Rio de Janeiro – miasto niezwykle

Według podróżników, pilotów wycieczek i turystów, cztery miasta naszej planety zasługują na szczególne wyróżnienie, ze względu na swoje piękne położenie. Jest to właśnie Rio de Janeiro, stolica Boliwii La Paz, kalifornijskie miasto San Francisco oraz chińskie miasto Hongkong.

Jak piszą autorzy przewodnika Insight Guides, Rio de Janeiro (w języku portugalskim znaczy Rzeka Styczniowa) trzeba zobaczyć na własne oczy, aby uwierzyć, że istnieje naprawdę. To cudowne miasto, liczące obecnie łącznie z peryferiami, około 11 mln mieszkańców, znajduje się w miejscu, które zostało odkryte 1 stycznia 1502 roku, przez portugalską ekspedycję badawczą. Portugalskie okręty wpłynęły do zatoki oceanicznej, którą odkrywcy uznali za ujście rzeki (stąd nazwa miasta).

W swojej historii, Rio przechodziło różne koleje losu. Portugalczycy, na północy i południu od zatoki Guanabara, zakładali faktorie handlowe, żyjąc w spokoju z Indianami Tamoio. Następnie Portugalczycy zbudowali nad zatoką miasto, które rozrastało się coraz bardziej, aż wyprzedziła stolicę kraju Salvador.

W XVIII wieku w wyniku wydobycia dużych ilości złota, które wywożono do Portugalii, Rio stało się finansowym centrum kraju, a w 1763 roku, jego stolicą. W 1808 roku portugalska rodzina królewska z instytucjami państwowymi uciekła do Brazylii przed

wojskami Napoleona i Rio stało się stolicą Portugalii. W 1815 roku regent Joao nadał Brazylii status królestwa połączonego unią personalną z królestwem Portugalii. Rio zostało więc stolicą wolnego państwa.

W 1889 roku Brazylię ogłoszona republiką. W 1960 roku prezydent Kubitschek przeniósł stolicę do Brasili, nowego miasta wewnątrz kraju, jednak Rio pozostaje nadal najczęściej i najchętniej odwiedzanym miastem Brazylii.

Nasza grupa ma w swoim programie zwiedzanie niektórych rejonów Brazylii i Argentyny, a zaczynamy go realizować od Rio de Janeiro. Miasto jest położone między Oceanem Atlantyckim a górami i większość ulic oraz budynków znajduje się na wzgórzach lub między wzgórzami. Na początku udajemy się na szczyt bardzo stromego wzgórza Corcovado (Garbatej Góry) o wysokości 710 m, na którym ustawiono słynny pomnik Chrystusa Zbawiciela (Christo Redentor) z rozłożonymi ramionami symbolizującymi znak krzyża. (zdjęcie 1). Granitowy posąg jest wysoki na 30 m. W nocy jest oświetlony, a więc widoczny z daleka.

Na szczyt góry można wyjechać taksówką lub kolejką. Droga o długości 3,7 km wije się wokół wzgórza, wznosząc się w górę i opadając w dół. Ze szczytu roztacza się piękny widok na miasto i plażę.

Górę otacza tropikalny Park Narodowy Tijuca zalesiony pięknymi drzewami, wśród których



znajdują się punkty widokowe. W pobliżu parku powstała plaża i dzielnica Ipanema zamieszkała przez bogatych mieszkańców miasta. Ta dzielnica jest obecnie ekskluzywnym ośrodkiem Rio, w którym znajduje się również tropikalny ogród botaniczny o powierzchni 140 ha wyposażony w ponad 8 tys. gatunków różnych roślin i drzew. Jest tu także wiele gatunków ptaków i zwierząt.

Jedną z osobliwości Rio są plaże, a szczególnie olbrzymia plaża Copacabana. Nasza grupa mieszka w dużym hotelu w odległości około 100 m od bardzo szerokiej plaży Copacabana i kilkaset metrów od oceanu. Między dzielnicą hotelową a plażą biegnie dwukierunkowa ruchliwa ulica miasta co powoduje, że plaża znajduje się właściwie w śródmieściu Rio. (zdjęcie 2). Copacabana jest główną plażą miasta. W upalne dni



przychodzą na nią tłumy ludzi. W wieżowcach, w których mieszka ponad 350 tys osób, od strony oceanu widać zatokę i plażę, a z drugiej strony góry i m.inn Głowę Cukru. Od czasu gdy z początkiem XX wieku otwarto tu luksusowy hotel Copacabana Palace, przebywało w nim wielu znanych przedstawicieli świata polityki, sztuki czy biznesu. Gościli tu np. takie osobistości jak Eva Peron, John Kennedy, Ali Khan czy Orson Welles.

Cariocas (mieszkańcy Rio) na plażach spędzają większość życia rodzinnego; uczą się, uprawiają sport, trenują, plotkują, flirtują, załatwiają interesy. W gorące dni po plażach chodzą setki tysięcy ludzi, leżą pod parasolami lub baldachimami, wchodzą do wody, kupują kapelusze i kremy do opalania.

Jest to również specyfika Rio, bowiem trudno spotkać takie zachowania w innych miastach nadmorskich czy leżących nad oceanem. W mieście są 22 plaże, my zwiedzamy kilka z nich i pływamy w wodach oceanu. Niezwykle zróżnicowany i urozmaicony krajobraz Rio powoduje, że można w nim znaleźć wiele pięknych miejsc. Np. jednym z nich jest plaża Sao Conrado, która jest otoczona z trzech stron górami i szczytami zarośniętymi gęstym lasem. Można tu dojechać z Ipanemy tunelem pod górą Dois Irmaos lub Avenidą Niemayer uważaną za cud techniki. Biegnie ona nad górskimi urwiskami do Sao Conrado. Jedziemy tą drogą i oglądamy piękny widok Ipanemy i oceanu. Na końcu Avenidy, która opada w dół, widać ocean, plażę i Gaveę potężny blok skalny. Ten widok jest wyjątkowy, a autorzy przewodnika uważają to miejsce nawet za niezmiernie piękne.

Duża ilość ciekawych i niezwykłych miejsc w Rio, zmusza nas do ciągłego poruszania się po mieście, autokarem i pieszo. Odwiedzamy również tzw. Głowę Cukru – wzgórze o wysokości 396 m n.p.m., znajdującą się w zatoce Guanabara. Wyjeżdża się na nią włoską kolejką linową, z wagonikami w kształcie baniek. Ze szczytu wzgórza, jak stwierdził nasz przewodnik, widok jest faktycznie nieprawdopodobny.

Na pewno warto także odwiedzić i zobaczyć wspomnianą już, zatokę Guanabara, o której Karol Darwin pisał podobno, że: „przewyższa wspaniałością wszystko, co

Europejczyk widział w swojej ojczyźnie”. My płyniemy statkiem na drugą stronę zatoki. Przepływamy obok niektórych spośród 84 wysp i wysepek Guanabary. W drodze powrotnej obserwujemy wspaniały widok Rio, dla którego warto zdecydować się na tę wycieczkę.

Charakterystyczną częścią Rio są favele (favelas) czyli dzielnice nędzy, przy czym sąsiadują one często z dzielnicami najbogatszymi. Jak informuje nas przewodnik, favele występują we wszystkich miastach Brazylii. Okazuje się jednak, że wkład mieszkańców slumsów w rozwój kulturowy Rio jest bardzo duży. Pochodzi z nich większość talentów muzycznych. Np. główne szkoły samby tworzone są w favelach i bez nich nie byłoby prawdopodobnie karnawału w Rio.

Jak informuje przewodnik po Brazylii w 700 favelach w Rio żyje około 3 mln ludzi. Większość z nich mieszka w bardzo trudnych warunkach. Domy zbudowane są przeważnie na zboczach stromych wzgórz. Podobno zdarzają się takie przypadki, że kilkuosobowa rodzina mieszka w jednym pokoju, z jednym łóżkiem dla dorosłych, a dzieci śpią na podłodze.

Nasza grupa wchodzi na teren faveli w dzielnicy Rocinha, z przewodnikiem, który pozwala tylko na krótką wizytę. W zetknięciu z bogactwem i urodą tego miasta, favele robią na nas przykre wrażenie. Nadziejemy na przyszłość jest decyzja kolejnych prezydentów Brazylii o stopniowej likwidacji faveli i poprawie warunków życia ich mieszkańców.

W ostatnim dniu pobytu w Rio de Janeiro, spacerując po śródmieściu Rio, zauważyliśmy nagle stojący na przystrzyżonym trawniku niewysoki pomnik Fryderyka Chopina. O istnieniu takiego pomnika, w tym mieście, nikt z nas, także przewodnik, nie wiedział. Uznaliśmy to zdarzenie za dobrą wróżbę na dalszą podróż po Brazylii i Argentynie.

Bibliografia

1. Jane Ladie, Edwin Taylor. Tom Murphy. Brazylia. 2004 Apa Publications Gambii, Verlag KG. (Singapore Branch).

Stanisław Kobiela

Bocheńskie ulice cz.3

Uchwała Rady Miejskiej z 11 września 1891 r. uregulowała generalnie nazewnictwo bocheńskich ulic na długie lata. Z wyjątkiem nazw najstarszych, których istnienie udało się ustalić już w XV i XVII wieku na podstawie akt sądu ławniczego (acta scabinalia), w kilku przypadkach nie mamy pewności, czy inne nazwy ulic pojawiły się po raz pierwszy dopiero w 1891 r. czy być może powstały wcześniej. Ze względu na braki w aktach miejskich musimy nazw tych poszukiwać w innych dokumentach jak np. w szkicach indykacyjnych, mapach katastralnych, projektach przebudowy ulic czy mostów, albo preliminarzach budżetowych, w których ulice te przeznaczają się do remontu. Jest to mrówcza praca i może niezbyt wdzięczna, bo nigdy nie ma pewności czy nie ominięto jakiegoś ważnego szczegółu. Być może przy dokładniejszej analizie tych dokumentów niejedną ciekawą zagadkę uda się jeszcze rozwiązać.

Stawisko na plantach

Przy pomocy pani Doroty Szymczyk z Narodowego Archiwum w Krakowie Oddział Bochnia odnalazłem w takiej właśnie wiązce dokumentów odpis uchwały Rady Miejskiej z 17 września 1869 r. zezwalającej na zamianę placu salinarnego (obecne stare planty) na **plac "Stawisko"**, *aby na placu salinarnym targi i jarmarki na przyszłość się więcej nie odbywały, aby plac ten na park przeznaczony został....!*

Jubileusz J.I. Kraszewskiego

W protokole Rady Miejskiej z 4 października 1879 r. znajduje się uchwała podjęta na wniosek radnego dr Oświęcimskiego z okazji jubileuszu 50-letniej pracy literackiej Józefa Kraszewskiego *iż ulica szewska nazywać się ma od dziś dnia "Ulicą Kraszewskiego", a na reperacye takowej przeznaczamy na rok bierzący nadzwyczajny datek sto pięćdziesiąt złr z funduszu miejskiego.* Mamy więc bezpośredni dowód na to, że ulica Szewska aż do 1879 r. biegła równolegle do północnej pierzei rynkowej i dalej aż do ulicy Trudnej, a obecna ulica Szewska otrzymała swoją nazwę właśnie w 1879 roku. Jubileusz znanego pisarza, który od czasów powstania styczniowego mieszkał w Dreźnie organizowany na ziemiach polskich w 1879 r. przekształcił się w ogólnonarodową manifestację o mocnym zabarwieniu patriotycznym. *Cztery lata później ten przygarbiony starzec, od przyrody niewielkiego wzrostu, a od starości jeszcze niższy – pisał Ludwik Krzywicki, korespondent "Przeglądu Tygodniowego" - ze zrezygnowanym wyrazem twarzy zasiadł na ławie oskarżonych przed sądem w Lipsku.* Był to proces o szpiegostwo na rzecz Francji i opierał się wyłącznie na dowodach poszlakowych, głównie przypuszczeniach, ale wobec osobistego, nienawistnego zaangażowania samego Bismarcka zakończył się wyrokiem 3,5 lat twierdzy. Współoskarżony kapitan armii pruskiej zmarł w więzieniu, w listopadzie 1885 r. dzięki interwencji króla Włoch Kraszewski został wypuszczony z twierdzy za kaucją. W kilka miesięcy później 19 marca 1887 r., sterany 2-letnim uwięzieniem, zmarł w Genewie. Wagon ze zwłokami pisarza przyjechał do Galicji okrężną drogą, bowiem Bismarck nie przepuścił

cił go przez tereny Rzeszy. Kraszewski pochowany został na Skałce w Krakowie ².

Wielki i małe Łapiguzy

W protokole z 1870 r. znajdujemy informację o terenie „**Wielki Łapigus**” na którym Rada Miejska zgodziła się na wybudowanie stajni dla austriackiej kawalerii, a z protokołu Rady Miejskiej z 20 lipca 1894 r. dowiadujemy się, że na Łapiguzy przy budynku „Sokoła” zaproponowano ulokować batalion strzelców (ZMB-15). Mamy więc lokalizację „Wielkiego Łapiguza” (w pobliżu obecnej ul. Parkowej) i małych Łapiguzów. Etymologia tej nazwy w połączeniu z Rozbornią (pierwotną nazwa Uzborni) wskazuje, że w tym miejscu nigdy nie było bezpiecznie i złoczyńców nie odstraszała stojąca niedaleko, jeszcze 200 lat wcześniej, szubienica. Wg Słownika historyczno-geograficznego ziem polskich w średniowieczu ten obszar za ogrodami miejskimi nazywany był Szubieniczną Górą.

Okręgi ogniowe

W rozważaniach nad nazewnictwem ulic Bochni zainteresować nas powinien protokół z posiedzenia Rady Miejskiej z 15 lipca 1905 roku. Podjęto wówczas uchwałę ustanawiającą trzy okręgi ogniowe pod kątem zabezpieczenia pożarowego miasta. Okręg I obejmował domy piętrowe ogniotrwale kryte, położone w większości przypadków w ścisłym śródmieściu. W okręgu II znalazły się wille, półpiętrowe kamienice i domy parterowe ogniotrwale kryte, znajdujące się głównie w rejonie Górnego Rynku, zaś w okręgu III były domy parterowe murowane położone w różnych częściach miasta, a przede wszystkim w północnej jego części. Ta uchwała ma duże znaczenie dla interesującego nas tematu, ponieważ potwierdza, że nazwy ulic przyjęte w uchwale z 11 września 1891 r. nie były zmieniane przez 15 lat z niewielkimi tylko wyjątkami. Jednym z takich wyjątków jest wymieniona w uchwale z 1905 r. nowa nazwa ulicy **do „Sokoła”** (obecna ul. Parkowa) prowadząca od ulicy Kazimierza Wielkiego do budynku Towa-



Dom Hojarskich - skrzyżowanie ulicy Brzeźniżnickiej i św. Jana

rystwa Gimnastyczno-Strzeleckiego "Sokół" znajdującego się przed potokiem Babica i stokami Uzborni. Nazwa ta nie mogła pojawić się we wspomnianej uchwale z 11 września 1891 r. ponieważ wtedy TGS "Sokół" jeszcze nie było. To gniazdo sokole powstało dopiero 3 listopada 1891 roku z inicjatywy pięciu entuzjastów z dr Czesławem Górskim na czele (pierwszym prezesem bocheńskiego "Sokoła")³. Zagospodarowało ono przekazany im przez bocheńskie Towarzystwo Strzeleckie (kurkowe) śliczny drewniany budynek, a z czasem go przebudowało. Ta fuzja obu towarzystw nie miała żadnego związku z paramilitarnym Związkiem Strzeleckim, założonym w Bochni w 1913 r. przez Tadeusza Jakubowskiego, co jednak często jest mylone przez historyków nie znających tej specyfiki bocheńskiej sytuacji. W uchwale z 1905 r. pojawiła się nazwa ulicy **Zacisze**, którą trudno jest wskazać na mapie i zlokalizować w terenie i ulica **Cmentarna**, prowadząca od ulicy Orackiej do bramy cmentarnej.

Wojenne ślady po Rosjanach

Można przypuszczać, że do wybuchu wojny światowej w nazwach ulic nie nastąpiły żadne dalsze zmiany. W latach wojny światowej rada miejska nie funkcjonowała. Po zakończeniu okupacji Bochni przez wojska rosyjskie pod dowództwem gen. Radki Dmitrjewa trwającej od 26 listopada do 12 grudnia 1914 r. jedna tylko ulica Wąska wychodząca z rynku i łącząca się z ulicą Kowalską otrzymała w miejscowej tradycji nazwę **ulicy Zasranka**. Żołnierze rosyjscy, których nazywano tutaj Moskalami nie korzystali z latryn wojskowych, bo może ich w Bochni nie mieli, albo woleli załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne na otwartej przestrzeni. Do tego celu uliczka Wąska wychodząca z rynku nadawała się wyśmienicie. Pozostawili tam tony ludzkiego nawozu. Po ich ucieczce austriacy żołnierze mieli nie lada problem z oczyszczeniem tej ulicy. Prace porządkowe i dezynfekcyjne trwały kilka tygodni.

Książę Józef Poniatowski w Bochni

Zapewne po I wojnie światowej zniknęły sympatie do austriackiego zaborcy, a wraz z nimi nazwa ulicy arcyksięcia Karola Ludwika. Patronem ulicy został **książe Józef Poniatowski** marszałek Polski i Francji, który zapisał się chlubnie w wojnie rosyjsko polskiej 1792, w insurekcji kościuszkowskiej 1794, był dowódcą armii Księstwa Warszawskiego, doskonałym strategiem, pokonującym wielokrotnie silniejszego wroga. W wojnie Napoleona z Rosją w 1812 r. objął dwa najcięższe stanowiska dowodzenia strażą przednią w drodze na Moskwę i strażą tylną w odwrocie, a jego oddziały, choć wykrwawione, jako jedyne prawie w całości powróciły do Warszawy. Sześć razy odrzucał ze wstrętem rosyjskie propozycje porzucenia Napoleona, bo nie chciał służyć Rosji. *Jego motto: Bóg-Honor-Ojczyzna* – pisze Norman Davies – *było natchnieniem dla tych wszystkich jego współrodaków, którzy gotowi byli walczyć do końca i dla których śmierć i klęska nie były oznakami przegranej, a heroiczna śmierć w nurtach Elstery nie była aktem rozpacz, ale krokiem jak najbardziej zrozumiałym i świadomym*⁴. Niestety nie zachowały się protokoły Rady Miejskiej z tych powojennych lat, w których odnotowano nadanie nazwy tej ulicy. W protokole komisji finansowej Rady Miejskiej z 9 lipca 1924 r. znajduje się wniosek o remont ulicy księcia Poniatowskiego.

Ludwik Stasiak uwielbiony i opuszczony

4 grudnia 1924 r. na drugi dzień po śmierci Ludwika Stasiaka (1858-1924), znanego w Bochni i cenionego artysty malarza i literata, odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady Miejskiej w sprawie uczczenia zmarłego jako zasłużonego obywatela Bochni. Radni przez aklamację postanowili oddać hołd zmarłemu, złożyć przez 2 delegatów kondolencje rodzinie zmarłego, sprawić na koszt miasta pogrzeb, na trumnie złożyć wieniec z napisem „Zasłużonemu Obywatelowi Miasta”, wymurować grobowiec i nazwać ulicę Krzywą, przy której Ludwik Stasiak się urodził ulicą **Ludwika Stasiaka**. Biegła ona od placu Brodzińskiego do ulicy Orackiej. W uchwale Rady Miejskiej z 20 marca 1931 r. nazwa ulicy Stasiaka została utrzymana. Nazwę tę powołuje także Stanisław Fischer w książce pt. *Kazimierz Wielki. Jego stosunek do Bochni i Bocheńszczyzny* wydanej w Bochni w 1934 r. na str. 23.

26 czerwca 1935 roku na posiedzeniu Zarządu Miejskiego nazwa ulicy Stasiaka, z nieznanych bliżej powodów została zlikwidowana, a ulica otrzymała nową nazwę **św. Antoniego**. Nie wiemy czy na taką zmianę nazwy ulicy wpłynęły środowiska kościelne, czy bliskość bursy gimnazjalnej. Fundacja św. Antoniego była spadkobierczynią kazimierzowskiego szpitala dla górników, ufundowanego w 1357 roku przez króla Kazimierza Wielkiego, ale nie wydaje się prawdopodobne, aby inicjatywa taka mogła wyjść ze środowiska bocheńskiej żupy solnej. Ludwik Stasiak był synem górnik. Żył i tworzył w tym środowisku. Pisał powieści o tematyce górniczej: „Skarby króla Kazimierza”, „W zapadłym szybie”. Fundacja św. Antoniego miała liczne folwarki na terenie Bochni. Jeden z nich zlokalizowany był przy ul. Trzeciego Maja, której nazwę zamieniono w 1935 r. na ulicę Józefa Piłsudskiego.

Porządkowanie nazw ulic w 1931 r.

Generalnym porządkowaniem nazewnictwa bocheńskich ulic i numeracji domów zajęła się bocheńska Rada Miejska pod koniec 1930 roku. 12 listopada 1930 r. powołała osmioosobową komisję spośród radnych (5), która opracowała propozycje i przedstawiła je Radzie na posiedzeniu 20 marca 1931 r. Potrzeba zajęcia się tym tematem wynikała z terytorialnego powiększenia się miasta, powstania nowych budynków i zagospodarowania nowej przestrzeni miejskiej. Ważne było także upamiętnienie polskiej tradycji narodowej i względy orientacyjne.

Nazwy większości ulic nadane w 1891 r. i w niewielkim zakresie zmienione w latach późniejszych pozostały z zasadzie te same. Ten krajobraz pamięci z poprzednich wieków wzbogacony w latach autonomii galicyjskiej poszerzył się w 1931 r. o akcenty narodowej wspólnoty i umacniał tożsamość miasta. Tylko w jednym przypadku zniesiono historyczną wielowiekową nazwę ulicy Gołębiej. Na patrona tej ulicy delegowany został Szymon Konarski, z sąsiedniej równoległej ulicy (obecnie Bernardyńskiej), prowadzącej od placu kościelnego do budynku gimnazjum i liceum.

Pamięć o Marszałku Piłsudskim

Trzy lata wcześniej 11 listopada 1928 r. odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej dla uczczenia 10 rocznicy niepodległości Polski. Przez aklamację radni nadali Górnemu Rynkowi w Bochni i ulicy Szymona Konarskiego nową nazwę „**Plac i ulica Marszałka Piłsudskiego**” (jest to obecnie obszar wo-



Górny Rynek - Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego (ze zb. Danuty Świeżyńskiej)

kół kościoła szkolnego pw. św. Stanisława Kostki i ul. Bernardyńska). Po podjęciu uchwały *radny prof. Trzpis wygłosił okolicznościowe przemówienie, które zakończył okrzykiem na cześć Najjaśniejszego Prezydenta RP. Mościckiego i Marszałka Józefa Piłsudskiego, który to okrzyk powtórzyli trzykrotnie wszyscy radni.*

W 1931 r. plac i ulica marszałka Józefa Piłsudskiego została utrzymana, chociaż na placu robiło się coraz ciasniej. Przywrócono do łask Szymona Konarskiego nadając jego imię ulicy Gołębiej, której nazwa platea Colombarum istniała od przełomu XV i XVI wieku. Co najmniej od 1926 r. wiadomo było o inicjatywie grona pedagogicznego Państwowego Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego budowy na tym placu kościoła szkolnego. W tej pracy niestrudzenie angażowali się nauczyciele organizując przy udziale młodzieży szkolnej jasełka i inne uroczystości z których dochód przeznaczano wyłącznie na ten jeden cel. Potwierdza to np. uchwała Rady Miejskiej z 16 czerwca 1926 r. o zwolnieniu dochodu z jasełek organizowanych na w/w cel z podatku od widowisk. Budowa kościoła rozpoczęła się wprawdzie dopiero w 1933 r. i trwała do 1937 r. ale kamień węgielny pod kościół poświęcony został 12 września 1932 r. Należało się liczyć z tym, że niedługo będzie stał w tym miejscu kościół. Cztery lata później Zarząd Miejski Bochni 26 czerwca 1935 r. zniósł nazwę ulicy Trzeciego Maja i przemianował ten eksponowany szlak na ulicę **Józefa Piłsudskiego**. Wówczas przywrócono właściwą nazwę ulicy Gołębiej, a Szymon Konarski jako patron ulicy powrócił wtedy na swoje poprzednie miejsce.

W 1931 r. rozpoczął się proces dzielenia ciągów ulicy na dwa lub trzy odcinki o różnych nazwach, jak w przypadku ulicy Różanej, księcia Poniatowskiego czy ulicy Campi, o czym będzie mowa niżej. Taką praktykę stosuje się w wielu miastach do dnia dzisiejszego. Poza wspomnianym przypadkiem ulicy Marszałka Piłsudskiego w nazewnictwie ulic Bochni nie da się zauważyć jakiegoś wyraźnego podkreślenia tradycji piłsudczykowskiej, ani endeckiej. Nie ma także postaci z narodowego panteonu bohaterów I wojny światowej i epepei legionowej. Wyjątek stanowi **Aleja Legionów** (obecna ulica Parkowa), która zastąpiła nazwę ulicy „do Sokoła”. Zmiana

ta była w pełni uzasadniona, ponieważ Polowa Drużyna Sokoła z Bochni walczyła w II Brygadzie Legionów Polskich, a jej dowódca por. Jan Słuszkiewicz, inżynier i geodeta wytyczył w jesieni 1914 r. i nadzorował budowę słynnej drogi na przełęcz Pantyr, skąd rozpoczęła się kampania bukowińska 2 pp LP w Dolinie Bystrzycy poprzez Zieloną, Rafajłową, Mołotków, Pniów do Stanisławowa i Kołomyi, a 1916 opracował projekt Reduty Piłsudskiego na Polskiej Górze.

Przejdźmy do analizy uchwały Rady Miejskiej z 20 marca 1931 roku kierując naszą uwagę kolejno na ulice położone według stron świata, w odniesieniu do rynku jako centralnego placu Bochni.

Na północ pod rynku nie zostały zmienione w 1931 roku nazwy ulic: Szewskiej, Kraszewskiego, Kowalskiej, Brackiej, Solnej Góry, Niecałej, św. Leonarda, Żydowskiej, Kolejowej, Wygody, Karoska, Krętej i Ścieżki. Bez zmian pozostała ulica Oracka, ale przedłużono jej nazwę od realności pana Muchy (obecnie róg ul. Orackiej i Campi) na ulicę Kolanowską aż do realności panny Finkłówny i nowego cmentarza (obecny cmentarz św. Rozalii). Nazwa ulicy „Kolanowska” została zniesiona.



Dzieje ulicy Campi

Ulicą **Campi** nazwano szlak biegnący od realności p. Muchy aż do szybu Campi (tak jak obecnie). Natomiast nazwa ulicy Campi biegnącej za szybem w kierunku zachodnim do Zapusty i Kolanowa nazwano ulicą **Srebrna Góra** (dzisiaj jest to ulica Za Szybem), zaś część dawnej ulicy Campi biegnącej do ul. Karoska (koło kolumny wystawionej na pamiątkę „czarnej śmierci” – obecnie kolumna ta została nieco przesunięta w obręb cmentarza) nazwano ulicą **Górnica**. Uliczka boczna od Orackiej w kierunku północnym do szybu Campi otrzymała nazwę ulicy **Folwarcznej** od księzego folwarku, który tam się znajdował, a w murowanej stodole przebudowanej z końcem



XX w. mieści się obecnie przedszkole, prowadzone przez zakonnicę.

Ulice wieszczów i bohaterów narodowych

Ulicę Wołową nazwano ulicą **generała Dąbrowskiego**, który urodził się w Pierzchowcu, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży tej miejscowości przeznaczył na umundurowanie i uzbrojenie Legionów Polskich walczących we Włoszech od 1797 roku. Ulica Karola Ludwika, która po I wojnie otrzymała nazwę ulicy księcia Poniatowskiego została teraz podzielona. Część jej, od ulicy św. Leonarda aż do ulicy Kościuszki, nosiła nadal nazwę marszałka Polski i Francji, który zginął w nurtach Elstery, natomiast druga część od ul. św. Leonarda, wzdłuż dworca kolejowego, aż do ulicy Trzeciego Maja nazwano imieniem trzeciego polskiego wieszca **Zygmunta Krasieńskiego**. Gościniec od Proszówek pomiędzy mostem kolejowym, a mostem na Rabie otrzymał nazwę ulicy **Juliusza Słowackiego**. Tak więc razem z istniejącą od 1891 r. ulicą Mickiewicza Bochnia miała w końcu ulice trzech wieszczów i niewątpliwie w nadaniu tych nazw najważniejszy głos należał do prof. Trzypisa, który każdego roku organizował w bocheńskim gimnazjum i liceum słynne „Wieczory Trzech Wieszczów”.

Ulica nad Babicą, biegnąca od młyna przy ul. Kościuszki do ul. św. Leonarda, nosząca od 1891 r. nazwę ulicy „Pod Lipką” teraz otrzymała nazwę bardziej dostojną ulicy **Lipowej** (przypominającej tylko nazwą najpiękniejszą aleję Berlina Unter den Linden). Nie zmieniono nazw ulic nad Rabą, a tylko ulica prowadząca do rzeźni i dalej w pola otrzymała nazwę **Na Buczkowie**. W kierunku wschodnim od ulicy Proszowskiej ku Przedwygodzie odcinek uliczny nazwano **Przedwygodą**, a jednocześnie pozostawiono tę nazwę dla drogi od wojskowych magazynów słomy przy ulicy Proszowskiej. Niezmieniona została ulica Krzeczowska, zaś gościniec Brzeski poczynając od ul. księcia Józefa Poniatowskiego w kierunku wschodnim do Gorkowa otrzymał nazwę ulicy **Brzeskiej**.

Na wschód od rynku, w kierunku Babicy dotychczasowej ulicy Solnej, rozpoczynającej się od szybu Sutoris nadano nazwę ulicy **Sutoris**, a oba łączące się ze sobą place na wschód i zachód od szybu (restauracji „Jubilatka” i sklepu PSS „Gospośnia” wówczas nie było) nazwano placami **Sutoris Górny i Sutoris Dolny**. Na pamiątkę klasztoru OO Dominikanów i kościoła ulicy między budynkiem sądu, a budynkiem ówczesnego starostwa (obecnie gmach Muzeum im. Prof. S. Fischera) nadano nazwę ulicy **Dominikańskiej**. Nie zmieniono nazwy ulicy Kościuszki, placu Gazaris i ulicy Gazaris.



Ulica Konfederatów Barskich

W kierunku południowym od rynku niezmiennie zostały nazwy ulic: Floris, Rzeźnickiej, placu Turka i oczywiście Kazimierza Wielkiego. Ulicę Floris i Gazaris koło Czytelni Robotniczej łączyła tzw. ul. **Przecznica Floris**. Od ulicy Floris na wzgórze Krzęczków i grzbietem Krzęczkowa, aż do Łychowa biegła teraz nowa ulica **Konfederatów Barskich** (obecnie jest to ulica Krzęczków), na pamiątkę założenia na strategicznie wobec miasta położonym Krzęczkowie obozu Konfederatów Barskich w 1768 roku. Już w chwili zawiązania Konfederacji nadciągnęły do Bochni oddziały konfederatów, zajęły zamek żupny i rozciągnęły swoją władzę nad kopalnią. 7 czerwca 1768 r. odebrali

*przysięgę wierności od wszystkich urzędników żupy – pisał Stanisław Fischer – ale rychło zostali wyparci z Bochni i Wieliczki przez oddziały królewskie. W ciągu jednego roku siedmiokrotnie obie żupy przechodziły z rąk do rąk i za każdym razem urzędnicy żupni składali nowe przysięgi wierności. Każda partia zabierała wyroby gotowe i sprzedawała je tanio, by szybko uzyskać gotówkę. Zabrano wszystkie konie salinarnie.*⁶



Dom Bystrzyckich - widok od obecnej ulicy Konfederatów Barskich

Rekwizycje i rabunki, jak to w czasie wojennym bywało, powtarzały się ustawicznie. Pułk konfederatów barskich pod dowództwem Cypriana Kieniewicza zapisał także ładną kartę w dziejach Bochni, fundując dla kościoła parafialnego ołtarz główny. Ołtarz ten zbudowany został w 1772 r. Ma wystrój barokowy, jest trzyosiowy, dwukondygnacyjny i wsparty na cokole, z wielkim obrazem patrona kościoła św. Mikołaja i złożonymi, potężnymi i doskonałymi w ruchu złożonymi postaciami czterech Ewangelistów, pełnych barokowego niepokoju⁷.

Mamut przy ulicy Gazaris

Ulica Gazaris łączyła plac Gazaris z ulicą Konfederatów Barskich. Plac Gazaris miał także drugą nazwę **Słomiany Plac**. Informacja o tej nazwie pojawiła się w protokole Rady Miejskiej z 20 marca 1919 r. Mieszkaniec Bochni Jan Spirodek chciał wybudować na Słomianym Placu budkę do prowadzenia w niej handlu, ale Rada nie wyraziła na to zgody.

W połowie ulicy Gazaris vis á vis dawnego kina „Syrenka” stok Krzęczkowa kryje w sobie szkielet mamuta. W okresie międzywojennym właściciel posesji rozpoczął budowę fundamentów pod dom i odnalazł tam szkielet mamuta w pozycji stojącej. Odkopał go do połowy i poprosił Muzeum Przyrodnicze w Krakowie, aby go zabrano, gdyż chce wybudować dom. Długo zwlekano z odpowiedzią, w końcu dowiedział się, że Muzeum ma dość kości mamutów i nie potrzebuje ich więcej. A tymczasem szkielet stał się atrakcją dla bocheńskiej młodzieży, która wspinała się i zjeżdżała z niego. Jeden z chłopców Jan Dobesz, późniejszy działacz Stowarzyszenia Bochniaków w Katowicach, wyjął ząb trzonowy mamuta i przekazał go swojemu profesorowi Stanisławowi Fischerowi, a właściciel posesji wylał fundamenty zabetonował w nich mamuta i wybudował dom. O tym ciekawym znalezisku pisał IKC⁸.

Tajemnica kościółka św. Urbana

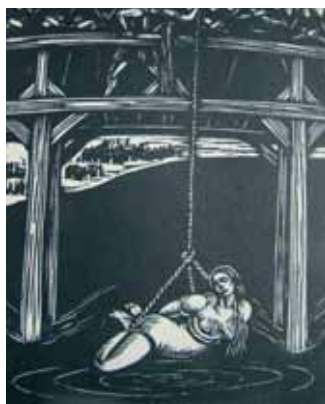
Możemy być pewni, że ulica Konfederatów Barskich biegła grzbietem Krzęczkowa, a nie tak jak obecnie⁹, ponieważ - uchwała Rady stwierdza - że droga w wąwozie, poczynając od realności pp. Bystrzyckich biegnąca w górę na Poddworze Górne, obok krzyża pod św. Urbanem i prowadząca do Łychowa otrzymała nazwę ulicy **św. Urbana** z tytułu, jak

mówi uchwała z 1931 r. *istniejącej niegdyś kapliczki św. Urbana, na której miejscu krzyż drewniany pozostał*. Drogę łączącą ul. Brzeźnicką z ul. św. Urbana od realności Robaka nazwano ulicą **pod św. Urbanem**. Czy rzeczywiście śladem po kościółku św. Urbana, wybudowanym w XVII wieku, jest ów krzyż drewniany w polu nazywanym „u św. Urbana”, czy może raczej znajdujące się niedaleko fundamenty jakiejś budowli, odnalezione na głębokości 1 łokcia pod ziemią przez Michała Łosika w 1856 roku, który ufundował w tym miejscu Kaplicę Matki Bożej Anielskiej na Murowiance? Kapliczka ta wybudowana została w stylu późnoklasykistycznym z kamienia i cegły. Ołtarz główny w stylu ludowo-barokowym pochodzi z 2 poł. XIX w., boczne w stylu ludowo-klasycystycznym przedstawiają Matkę Bożą Śnieżną i św. Wojciecha, a w zwieńczeniu obraz św. Józefa z Dzieciątkiem. Polichromię wykonał w 1892 r. Jan Lubrański. W 1892 r. kapliczka została rozbudowana i nabrała wyglądu miniaturowego kościoła z prezbiterium. Dobudowane kilka lat temu skrzydło kapliczki oszpeciło ją, zepsuło jej harmonię i styl. Przedłużenie ulicy Floris, aż do Przysiek zwane dotychczas drogą brzeźnicką nazwano ulicą **Brzeźnicką**.

Staw na Wójtostwie

Pomiędzy Górą św. Urbana a Uzbornią następuje obniżenie terenu w którym znajduje się Wójtostwo, grunty dziedzicznych wójtów Bochni przyznane im przywilejem lokacyjnym z 1253 r. Wójtowie Bochni mieli ogromne przywileje

i uprawnienia. Do nich należała wieś Chodynice (Chodenice), młyny a także jurysdykcja, także w procesach o czary. Ofiarami tych procesów były najczęściej kobiety w gminu. Ponad 30 z nich spłonęło na bocheńskim rynku przy tłumach miejskiej gawiedzi. Wcześniej poddawane były wyrafinowanym torturom i tzw. próbie wody, która polegała na opuszczaniu związanej kobiety do sta-



Drzeworyt Wł. Skoczylasa



Kapliczka na Murowiance - fot. Paweł Klasa

wu. Jeśli tonęła – była niewinna, w innym przypadku czekała ją śmierć na stosie, gdyż uważano, że w utrzymaniu się na wodzie pomagał jej diabeł. Według legendy te próby wody odbywały się na wójtowskim stawie.

Od niepamiętnych czasów na Wójtostwie były dwa stawy rybne. Dzisiaj tych stawów już nie ma. Zostały zasypane, a na ich miejscu znajduje się Osiedle św. Jana. Ten większy „Staw na Wójtostwie” był punktem odniesienia do nadawania w 1931 r. nazw ulic w tym rejonie. Droga główna biegnąca przez Wójtostwo od realności Marca do tego stawu musiała oczywiście nazywać się ulicą **Wójtostwo** i tak ją właśnie nazwano, zaledwie na cztery lata. Od stawu tego obok kapliczki Murowianka aż do Przysiek biegła **teraz ulica Murowianka**. Nazwa ulicy pochodziła od kapliczki Murowianka, wzniesionej w 1856 r. przez braci Łosików, w której znajdowała się cudowna figura Matki Bożej Anielskiej i od cudownego źródła, które spod kapliczki wypływa. Uliczkę, a właściwie ścieżkę o tej właśnie nazwie, biegnącą od dawnej targowicy bydłowej przy ulicy Floris noszącą tę nazwę, przemianowano na **ulicę Zwierzyniecką** (cytując:) *z tytułu istniejącego niegdyś za stawem na Wójtostwie „Zwierzynca”*. Co to był ów „Zwierzyniec” tego nie udało się na razie ustalić. Obecnie ulicy Zwierzynieckiej nie ma. W jej miejsce powróciła dawna nazwa ulicy Murowianki.

Powstała także nowa **ulica św. Jana**, biegnąca od stawu na Wójtostwie aż do stawiska pod św. Janem (czyli figurką św. Jana Nepomucena ustawioną obok realności pp. Hojar-skich).

Rozboje na Węgierskiej i Rozborni

Zmieniona została nazwa ulicy Sandeckiej (dawna platea Sandecensis) na bardziej polską ulicę **Sądecką**. Równoległa do niej odnoga, będąca także starym traktem węgierskim, nazwana została teraz ulicą **Węgierską**, w miejsce poprzednich nazw: Przeduzborni vel Madejówki. Nazwa **Madejówka** może pochodzić od realności jakiegoś Madeja. Mało wiarygodna wydaje się hipoteza nawiązująca do baśni o zbój Madeju, ponieważ miejscowa legenda wiąże ten trakt handlowy i Rozbornię ze zbrojcem Szycem. O zbrojeckich napadach na przejeżdżających tą drogą kupców świadczą tzw. dowody

rzeczowe – odnalezione w ziemi przy ul. Węgierskiej monety rzymskie z czasów cesarza Trajana. Często bowiem zdarzało się, że zaatakowani kupcy zdążyli jeszcze zakopać w ziemi swoje pieniądze z nadzieją, że – jeśli przeżyją – to je wykopią i pojedą dalej. Od budynku poczty (dawna poczta znajdowała się przy ul. Sądeckiej) obok realności Gargulów biegła w górę na sam szczyt Uzbornia ulica **Zbójcka**. Był jeszcze jeden szlak nazywany ulicą Uzbornia, który biegł obok realności Kacpra Ślizowskiego także w kierunku karczmy zbrojeckiej. W 1931 r. tę właśnie ulicę Uzbornia nazwano ulicą **Henryka Sienkiewicza**. Na wzgórzu Uzbornia uliczka bez nazwy biegnąca obok realności Kłóska, Pacuły i Cieśliska otrzymała nazwę **ulicy Łącznej**. Przeciwniegią do niej prowadząca aż do ulicy św. Marka

ulica **Poduzbornia**, a do placu Turka z Uzborni prowadziła teraz ulica **Górska**. Południowy stok Uzborni otrzymał nazwę ulicy **Polesie**. Nazwę ulicy Kącik wychodzącej z rynku, zmieniono na ulicę **Ochronki**, a ulicę do „Sokoła” na **Aleje Legionów**.



Przywilej na sochaczki. Kunegunda czy Kinga?

W kierunku zachodnim od rynku zmianie uległ bieg ulicy Różanej. Jej część wschodnią od rynku do ul. Mickiewicza nazwano ulicą **Wolnica**. Nazwa Wolnica oznacza prawo wolnego handlu w określone dni tygodnia (przywilej na sochaczki), nadawane Bochni przez królów: Władysława Łokietka w 1321 r. (wolny handel mąką 2 razy w tygodniu, Władysława Jagiełłę w 1405 (wolny handel mięsem w soboty), potwierdzony przez Jana Olbrachta (1494) i Zygmunta I Starego (1525). Dalsza część ulicy od ul. Mickiewicza pozostała niezmienną. Plac Kunegundy otrzymał teraz nazwę **placu św. Kingi** (choć w chwili nadawania tej nazwy była błogosławioną). Ulica Gołębia zamieniona została – jak już wspominałem – na szczęście tylko na cztery lata, na ulicę Konarskiego. Górny Rynek, który nosił nazwę placu Marszałka Piłsudskiego nadal nie odzyskał swojej pierwotnej nazwy. Niezmienione zostały ulice: Biała, Mickiewicza, Studencka, Czackiego, Krótka, Krakowska, Zielona, plac Brodzińskiego, a uliczka łącząca ul. Białą z placem marszałka Piłsudskiego otrzymała nazwę **ulicy Bonerowskiej**, na pamiątkę istniejącego tam szybu Bonera.

Ulica Krakowska nadal biegła od placu marszałka Piłsudskiego do kapliczki św. Rozalii. Krakowskie Przedmieście ciągnęło się od kapliczki św. Rozalii aż po Zapustę i Kolanów, a **Nowy Świat** od ulicy Wiśnickiej po granice wsi Kolanów. Była to także nazwa drogi łączącej Krakowskie Przedmieście z gościńcem państwowym. Niezmieniona została nazwa ulicy Wiśnickiej i Gipsowej, a ulicę Kazimierza Wielkiego z ul. Różaną łączyła nadal ulica Mała.

Na posiedzeniu Zarządu Miejskiego 26 czerwca 1935 r. ostatecznie ustalono nazwy ulic i placów. Rynek podzielono na linię A-B (południowa pierzeja) od domu Tarcałowicza do apteki Szymanowicza, linię C-D (zachodnia pierzeja) od domu składnicy do domu Gottingera, linię E-F (północna pierzeja) od sklepu firmy „Bata” do kamienicy Kronika, (w której w grudniu 1939 r. rozegrały się dramatyczne wydarzenia). Linię G-H (pierzeja wschodnia) obejmującą dom Schlosserów i budynek Starostwa (obecnie gmach Muzeum im. S.Fischera). Uchwała bardzo precyzyjnie określiła bieg ulic wskazując poszczególne realności i nazwiska ich właścicieli. Dzięki temu dokument ten ma dużą wartość poznawczą. Zakreśliła granice ulicy Kazimierza Wielkiego od rynku do ul. Zielonej (obecnie Matejki), ulicy Nowy Świat (od ul. Zielonej do Wiśnickiej), Białej (od szkoły im. Jachowicza do Krakowskiego Przedmieścia), granice placu św. Kingi, ulicy Żydowskiej (od Kowalskiej do Kraszewskiego) i wszystkich innych ulic Bochni. Utrzymana została ulica **Sądecka Brama** biegnąca od rynku do potoku Babica, a dalej biegła ul. Sądecka od potoku Babica do ul. Zbójeckiej. W 1935 r. zlikwidowano nazwę ul. Stasiaka, nadając jej nazwę patrona św. Antoniego, o czym pisałem wyżej. Określono położenie placu Brodzińskiego, przylegającego do Górnego Rynku, gmachu Gimnazjum i **ulicy Kalwińskiej**.

Po raz pierwszy wymieniona jest ta ulica, ale tylko przy określaniu położenia placu Brodzińskiego. W wykazie ulic nie figuruje. Nazwa ta powinna budzić szczególne zainteresowanie. Nikt wtedy nie mógł wiedzieć, że w okolicy obecnego budynku ZNP przy ul. Białej, w ogrodzie odnaleziono została w 1956 r. szczątki kalwińskiego pastora Szymona Zacjusza (1507-1591) jego żony Katarzyny z Przekłódków Zacjuszowej i córki. Szymon Zacjusz był znanym propagatorem kalwinizmu na Litwie i w Małopolsce oraz jednym z autorów przekładu Biblii Brzeskiej, zwanej także Radziwiłłowską, na język polski i jednym z najwybitniejszych humanistów tamtej epoki, znającym świetnie łacinę, grekę i język hebrajski, autorem kilku psalmów, a w latach 1540-1548 naczelnym pastorem w Krzyżanowicach. Uważana analiza uchwały Zarządu Miejskiego z 1935 r. pozwala na postawienie hipotezy, że tą nową nazwą zastąpiono uliczkę Studencką, gdyż tej ostatniej nazwy w wykazie ulic już nie ma.

Najważniejszą zmianą było przeniesienie nazwy ul. Piłsudskiego na miejsce nazwy ulicy Trzeciego Maja, powrót Szymona Konarskiego i nazwy ul. Gołębiej na swoje poprzednie pierwotne miejsca, o czym pisałem wcześniej. Ważną także zmianą było przeniesienie nazwy ulicy **Zygmunta Krasieńskiego** na ulicę Wójtostwo od ul. Sądeckiej do ul. Murowianki.

Te nazwy przetrwały do wybuchu II wojny światowej.

C.D.N.

Przypisy:

- Obszar Stawiska obejmował teren pomiędzy ulicą Oracką i Czackiego
- Jerzy Borejsza, Dossier B/a 1133 (Józef Ignacy Kraszewski) [w: Piękny wiek, Warszawa 1984 s.283-284
- zob. S. Kobiela, Towarzystwo Gimnastyczno-Strzeleckie „Sokół” w Bochni, Lata 1891-1894, Wiadomości Bocheńskie nr. 4/2002 s.14-17).
- Norman Davies, Serce Europy. Krótka historia Polski. Londyn 1995 s.175
- Na czele komisji stał dr Gustaw Müller
- Stanisław Fischer, Dzieje bocheńskiej żupy solnej. s. 110.
- Ks. Stanisław Wójtowicz. Kościół parafialny w Bochni i jego środowisko artystyczne. Przewodnik. Bochnia 1983 r. s.36, Teofil Wojciechowski. Kościelne dzieje Bochni w czasach staropolskich. Tuchów 2003 s. 35
- Stanisław Dobranowski, Stanisław Kobiela. Miasto Siedmiu Wzgórz. Wiadomości Bocheńskie nr 4/1997 s.15.
- Uchwała z 1931 r. stwierdza, że ul. Konfederatów Barskich biegnie od ul. Floris na Krzęczków, aż do Łychowa. Protokół Zarządu Miejskiego z 26 czerwca 1935 r. potwierdza, że ulica Konfederatów Barskich biegła *od placu Gazaris dawną ulicą Gazaris, drogą obok cmentarza izraelickiego, aż do wąwozu*. W 1935 r. wchłonęła więc także ulicę Gazaris. Cmentarz żydowski na Krzęczkowie założony został w 1872 na powierzchni 1 ha. Do dzisiaj zachowało się prawie siedemset nagrobków (tradycyjnych macew i i sarkofagów z inskrypcjami w językach polskim, hebrajskim i niemieckim. W czasie II wojny znaczną część macew Niemcy użyli do utwardzenia ulicy Orackiej.

Serdecznie dziękuję pani Dorocie Szymczyk z Narodowego Archiwum w Krakowie - Oddział w Bochni za pomoc w przygotowaniu materiałów archiwalnych do artykułu

Joanna Maria Noworolska

Franciszka Rotter - Plata (1894 - 1974) i jej związki z Bochnią



12 lipca 2009 roku odbył się w Bochni, w Państwowej Szkole Muzycznej, oraz w Łapczycy, w kościele Najśw. Marii Panny – koncert poświęcony pamięci wielkiej primadonny opery, Franciszce Rotter – Plata. Zorganizowało go: Polskie Towarzystwo

Pedagogiki i Śpiewu we Wrocławiu, przy udziale Katedry Wokalistyki Akademii Muzycznej w Katowicach. Inicjatorem konkursu był Wrocławski oddział Stowarzyszenia Bochniaków i miłośników Ziemi Bocheńskiej. Wielu obecnych zastanawiało się, co łączyło tę wielką artystkę z Bochnią?

Urodziła się w 1894 roku w Jaśle i była najmłodszą i jedyną córką spośród dziewięciorga dzieci Jasielskiego organisty Wojciecha Platy. Od najmłodszych lat wykazywała szczególne zainteresowanie śpiewem i muzyką, toteż wielokrotnie towarzyszyła ojcu w jego służbie kościelnej. Już jako młoda dziewczyna zaczęła śpiewać w kościele. Szkołę powszechną i Seminarium Nauczycielskie ukończyła w 1913 roku w Jaśle. Państwo Platowie pomimo ciężkich warunków materialnych postanowili kształcić jedyną córkę w kierunku wokalistyki. Aby to urzeczywistnić – należało zamieszkać w pobliżu Krakowa. Po wielu poszukiwaniach – pan Wojciech znalazł pracę organisty przy kościele N.M.P. w Łapczycy, zamieszkując z rodziną w tamtejszej organistowce.

Ówczesna Łapczyca nie była miejscem „zapomnianym przez Pana Boga”. Posiadała 2-klasową szkołę powszechną, urząd pocztowy, leśniczówkę, a z pobliskiej Bochni można było dojechać koleją do całej Europy. Pani Platowa też nie miała powodów do trosk, bo w Bochni można się było zaopatrzyć we wszystko, cokolwiek było potrzebne do prowadzenia gospodarstwa domowego dla tak licznej rodziny. Tak więc – pozostawała tylko kwestia pieniędzy: za co córka będzie się kształcić? I tu – z pomocą finansową przyszedł bochnianin: dr Antoni Michnik, a także Jacek Lipski, działacz Drużyny Bartoszewych. Franciszka udała się do Krakowa, aby w latach 1916 – 1919 studiować w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego, gdzie studia obejmowały oprócz wokalistyki grę na fortepianie. Otrzymany na koniec dyplom ukończenia edukacji zaznaczał, że *otrzymuje ze śpiewu ocenę celującą*.

Aby zapewnić sobie warunki materialne – należało zdobyć angaż. I po długich poszukiwaniach i staraniach – 20 maja 1920 roku została zaangażowana do Opery Lwowskiej, gdzie zadebiutowała w roli Halki Stanisława Moniuszki, odnosząc wielki sukces. Należy wspomnieć, że oprócz niebywałych warunków wokalnych – wykazywała niezwykle talent aktorski,

tak ważny w tym zawodzie. Pomimo rosnącej sławy czuła się bardzo samotna. W roku 1920, a więc w roku debiutu artystycznego, poznała Leopolda Rottera, który stał się jej wielkim wielbicielem. Pan Rotter był wziętym technikiem dentystycznym we Lwowie, pochodził z rodziny o tradycjach lekarskich – ojciec Abraham Roth był lekarzem w szpitalu przy ulicy Żółkiewskiej. Jedynym problemem ich związku było wyznaczenie moźeszowe przyszłego kandydata na męża. Postanowili zatem wziąć ślub cywilny latem 1920 roku. Franciszkę, pochodzącą z rodziny katolickiej, nie zadowalał ten ślub. Leopold zmienił dla żony wyznanie, ochrzcił się ze zmianą imienia na Jacek Zbigniew i adaptacją nazwiska. Pobrali się we Lwowie w obrządku rzymsko-katolickim, w kościele Św. Anny przy ulicy Gradeckiej. Franciszka urodziła córkę Stanisławę, ale z tym, jak i z zawartym małżeństwem nie afiszowała się, gdyż ówczesne primadonny, stosując się do ówczesnej „poprawności” dla śpiewaczek – pozostawały z reguły bezżenne i nie posiadały potomstwa.

Wszędzie występowała zatem jako Franciszka Platówna. W latach 1927 – 1928 koncertowała we Wiedniu, gdzie śpiewała partię solową Santuzzy w operze „Rycerskość wieśniacza” P. Mascagniego. Ale i tam pobierała dalsze nauki jako słuchaczka wiedeńskiego Operen Schule. W 1930 roku Opera Lwowska uległa likwidacji z powodów finansowych. Franciszka miała wiele szczęścia, gdyż w latach 1930 – 1939 dyrektorem Opery Warszawskiej została wielka śpiewaczka operowa Janina Korolewicz-Waydowa, która dobrze знаła Franciszkę ze światowych scen operowych. Panujące wówczas ciężkie warunki dla życia artystów wymusiły na pani Korolewicz umowę, która zobowiązywała ją do prowadzenia Opery na własny koszt. Dotyczyło to również wszelkich niezbędnych remontów. Franciszka Platówna otrzymała angaż jako sopran dramatyczny, co wykorzystano w repertuarze, wystawiając prawie wszystkie opery Ryszarda Wagnera. Potęgą i rozpiętością jej głosu, oraz siłą ekspresji dramatycznej czyniły z niej jedną z najświetniejszych śpiewaczek wagnerowskich. Przyniosło to jej propozycję wystąpienia na Festiwalu Wagnerowskim w Bayreuth; nie skorzystała jednak z tej propozycji, mając na uwadze pogarszającą się sytuację polityczną, a także konieczność występowania w języku niemieckim, którego nie lubiła.

Śpiewała w swojej karierze ponad 50 pierwszoplanowych partii operowych, w tym wiele tytułowych ról dla sopranu dramatycznego, zaliczając się do najświetniejszych polskich śpiewaczek. Siłą swojego dramatycznego i o rozległej skali głosu – umiała łączyć z aktorskim temperamentem i głębią uczuć, czym nasyciała każdą z tworzonych przez siebie operowych postaci. Jej partnerami scenicznymi w operach byli znakomici śpiewacy okresu międzywojennego, a m. inn. Jan Kiepusza i Fiodor Szalapin. Oprócz działalności scenicznej – wielokrot-

nie śpiewała też w radiu, oraz dawała też wiele recitali wokalnych.

W międzyczasie, osiągając olbrzymie sukcesy w wymienionych scenach operowych – nie zapomniała o rodzicach, mieszkających nadal w Łapczycy, gdzie w 1933 roku wybudowano nowy kościół /w stanie obecnym/. Nie zapomniała również o Bochni, gdzie znalazła pierwszych sponsorów. W podzięce, w miarę możliwości, występowała na nabożeństwach w kościele pw. Św. Mikołaja, gdzie słyszeli ją wielokrotnie moi rodzice.

Równocześnie – wielokrotnie wspominała pielgrzymki mieszkańców Bochni do Łapczycy, jakie do dnia dzisiejszego od roku 1849 odbywają się corocznie 16-go lipca, jako wotum Najśw. Marii Pannie za oddalenie epidemii cholery.

Pielgrzymki te odbywają się tzw. Górnym Gościńcem, stanowiącym dawny trakt handlowy pomiędzy Polską, Rosją i Węgrami.

Nadszedł czas okupacji hitlerowskiej. Franciszka wraz z córką wyjechała do Łapczycy, by nie uniknąć represji ze strony okupantów niemieckich, a także ze względu na ukrywającego się męża.

Od 1942 roku utrzymywała się z udzielanych lekcji śpiewu, jak również organizowała koncerty charytatywne za pośrednictwem Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), z których dochód przeznaczala dla więzionych rodaków, a szczególnie dla sierot.

Po wojnie, już 8-go września 1945 roku, wystąpiła w ukochanej roli Halki w pierwszym polskim przedstawieniu w Operze Wrocławskiej. Zainaugurowała również sezon Opery w Krakowie, występując w roli Neddy w „Pajacach”

R. Leoncavalla. Aby utrzymać siebie i rodzinę, pomimo braku stałego angażu w latach 1945 – 1946, koncertowała na Dolnym Śląsku i Pomorzu, od Szczecina do Elbląga. W roku 1946 zmarł jej mąż, a ona postanowiła osiedlić się w Słupsku,

gdzie zorganizowała szkołę muzyczną, będąc jej nauczycielem i dyrektorem. W 1949 roku została zatrudniona w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej we Wrocławiu, a w roku 1951 została mianowana jej profesorem.

W 1955 roku przeszła w stan spoczynku, ale pracowała dalej na umowę-zlecenie aż do roku 1970.

Miała za sobą łącznie 22 lata działalności pedagogicznej.

Zmarła 10-go lutego 1974 roku we Wrocławiu i została pochowana na cmentarzu

Św. Wawrzyńca we Wrocławiu.

Przypomniane na wstępie koncerty wspomnieniowe tej wielkiej śpiewaczki, zorganizowane przez uczelnię muzyczne dowodzą o żywej o Niej pamięci i trwałości opinii współczesnych Jej krytyków muzycznych, podkreślających „doskonałość warsztatową Jej mocnego dramatycznego sopranu, siłę i głębię wyrazu, bogactwo i skalę głosu, kulturę i szlachetność brzmienia, artyzm interpretacji, oraz niezwykłą rozpiętość talentu aktorskiego”.

Jej córka, Stanisława Rotter, choć zawsze żyła w cieniu sławy matki - była jednakże znaną publicystką i prozaikiem, autorką książek dla dzieci i członkiem Związku Literatów Polskich, żoną H. Kołodzieja. Zmarła śmiercią tragiczną w 1975 roku we Wrocławiu, a pochowana została na Cmentarzu Osobowickim.

Tak więc saga rodu dobiegła końca.

Opracowano na podstawie :

- Polski Słownik Biograficzny t. 26
- Sztuka i życie – pamiętniki Korolewicz-Waydowej wydanie Zakładu im. Ossolińskich 1969
- Kalendarz Słowa Polskiego r. 1907 rocznik VIII
- wspomnienia moich rodziców i rodziny.

Od redakcji: Kilka lat temu prezydent Wrocławia polecił oddnowić jej grobowiec na wniuosek Oddz. Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków i MBZ.

Ewelina Mroczek

Wywiad z Dorotą Murczyńską Prosto z platformy wiertniczej na Morzu Północnym

Migracje zarobkowe młodych Polaków na zachód Europy są dzisiaj normą. Podejmowana tam praca – różna, w zależności od wykształcenia, własnej inicjatywy, kontaktów... przy padku. Przykład pani Doroty Murczyńskiej chociaż mieści się w tej krótkiej charakterystyce, jest jednak nietypowy, a nawet niezwykły. Na początek kilka słów o Niej samej. Bochnianka. Mama Doroty jest architektem, tata inżynierem elektrykiem, a babcia – Wanda Liguzińska to aktywny członek naszego Stowarzyszenia i autorka wielu tekstów w Wiadomościach Bocheńskich. O jej dziadku Robercie Liguzińskim, żołnierzu Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich pisała.

M. Pięchowa w art. – „Narwik. Droga do wolności”. (W.B. Nr 1 (88) 2011. Pani Dorota po ukończeniu w 2006r. bocheńskiego I Liceum Ogólnokształcącego w klasie mat-fiz-chem (wych. Prof. Anna Kłusek) studiowała na wydziale geologii, geofizyki i ochrony środowiska w AGH w Krakowie. Wybrała specjalność – geofizyka stosowana. Teorię połączyła z praktyką poznawania - jak sama mówi - uroków Ziemi, jej geologii,

kultury. Takie możliwości stworzyły odbyte wyprawy naukowo-poznawcze: całoroczna po Hiszpanii, do Turcji i w 2009 po Islandii. O tej ostatniej z Krystyną Jarosińską, towarzyszką w tej wędrowce, opowiedziały ilustrując świetnym, własnym materiałem zdjęciowym, w bocheńskim Domu Kultury. - Dofinansowane przez rektora AGH, po treningu zafundowanym przez siłownię Platinum w Krakowie, na rowerach, z namiotem, w lipcu i sierpniu poznawały geologiczne niezwykłości Islandii: miejsce gdzie stykają się płyty tektoniczne amerykańska z europejską, lodowce, gejzery, elektrownię geotermalną - dzielnie przy tym znosząc pogodowe kaprysy morskiego, niemal już arktycznego klimatu. Po ukończeniu studiów nie było dla niej problemem znaleźć się na morskiej, wiertniczej platformie naftowej. W rozmowie kwalifikacyjnej, częściowo po hiszpańsku, częściowo po angielsku, trafnie dostrzeżono u kandydatki przedsiębiorczość, odwagę, łatwość „fraternité”, a więc cechy wymagane w trudnych warunkach pracy na samej platformie i helikopterowych przelotów między stałym



lądem a platformą. Wiadomość, że ma tę pracę dotarła do niej gdy była na europejskim zlocie studentów geofizyki w Hamburgu. O samej pracy opowie już sama.

Wiadomości Bocheńskie. - *Jak to się stało, że dziewczyna z Bochni, bardzo z głębi kontynentu, podjęła się pracy na platformie wiertniczej na Morzu Północnym? Jak to miejsce można zlokalizować?*

Dorota Murczyńska. – Już jako dziecko kolekcjonowałam kolorowe ‘kamyczki’. Rodzice musieli „znieść” tony gładów zalegające (do dzisiaj) pod moim biurkiem oraz wozić mnie na targi minerałów w Krakowie. Z każdej wycieczki przywoziłam jakieś znaleziska: lawę wulkaniczną, amonity, muszle, kryształy, czasem nawet były przez to kłopoty na granicy celnej. Na komunię wśród różnych prezentów były dwa przewodniki do skał i minerałów, a na 16-te urodziny koleżanki planowały mi podarować szlifierkę do kamieni. Kończąc liceum myślałam o studiowaniu grafiki, ale nauczycielka geografii prof. p. Michałowska zgłosiła mnie na konkurs organizowany przez AGH, w którym wygrałam indeks z możliwością studiowania m.in. geologii i stwierdziłam, że jednak lepiej wybrać studia inżynierskie (i kontynuować rodzinne tradycje jako trzecie pokolenie absolwentów AGH). W trakcie studiów wybrałam specjalizację w geofizyce stosowanej i jeszcze przed obroną dostałam ofertę pracy w aktualnej firmie. Miała to być praca głównie przy wierceniach gazu z łupków w Polsce, jednak już na kursie w Aberdeen okazało się, że mam przejść trening z ewakuacji z tonącego helikoptera, oraz gaszenia pożarów, a pracować będę również na Morzu Północnym.

Łącznie pracowałam na 7 różnych platformach na Morzach Północnym i Irlandzkim, oraz na 2 wiertniach lądowych we Francji i w Polsce. Najdalej położona na północ platforma znajdowała się w rejonie Szetlandów. Żeby się na nią dostać musiałam lecieć z Balic do Frankfurtu, następnie do Aberdeen, gdzie przesiadłam się do małej awionetki lecącej na Szetlan-

dy. Ostatnim etapem był około godzinny lot helikopterem na platformę.

Jakie są twoje zadania i miejsce w zespole pracowników?

Przy wierceniach zwykle pracują trzy rodzaje firm – operatorzy, firmy wierzące oraz serwisowe. Operatorzy to znane z nazw stacji benzynowych korporacje, będące właścicielami koncesji wydobywczych i finansujące prace, a potem czerpiące zyski ze sprzedaży paliw. Firmy wierzące są właścicielami platform i zajmują się wydobyciem, oraz zatrudniają ekipę pracowników przypisaną na stałe do tej platformy (np. wiertacze, inżynierów płuczkowych, mechaników, techników, kucharzy). Trzecim rodzajem przedsiębiorstw są tzw. „serwisy” zajmujące się pracami badawczymi, kontrolnymi i nadzorczymi (wykonują pomiary, badają geologię i monitorują). Pracuję właśnie w „serwisie”, w firmie pilnującej prawidłowego przebiegu wiercenia.

Nasz zespół składa się z 4 osób, dwie pracujące w dzień i dwie w nocy. Zazwyczaj na jednej zmianie jest osoba z większym doświadczeniem oraz pracownik z krótszym stażem pracy. Na początku byłam głównie odpowiedzialna za przygotowanie próbek skalnych, ich opis pod mikroskopem, oraz stworzenie profilu litologicznych i raportu opisującego przebieg wiercenia w konkretnych formacjach skalnych. Kiedy nabyłam doświadczenie, moja praca zaczęła być bardziej związana z monitorowaniem i analizą wszystkich parametrów wiercenia (prędkości, obrotów, ciśnienia, temperatur, stężenia węglowodorów itp.), informowaniem o zagrożeniach i nieprawidłowościach w procesie wiercenia, a także przesyłem tych danych, oraz tworzeniem ostatecznego raportu z całego przebiegu wiercenia. W uproszczeniu wygląda to tak, że przebywam w niewielkim pomieszczeniu z 8-ma monitorami, systemem do analizy węglowodorów, oraz mikroskopem i sprawdzam czy wszystko chodzi jak w zegarku.

To oczywiste, że posługujesz się językiem angielskim. Czy jesteś tam jedyną cudzoziemką, a może jedyną dziewczyną wśród tych nafciarzy? Mam wyobrażenie, że taka stacja to dla silnych i odważnych mężczyzn;

Na Morzu Północnym pracują przede wszystkim Szkoci, co często utrudnia komunikację. Język szkocki różni się dość znacznie od języka angielskiego, a szczególnie od literackiego, którego uczyłam się w szkole (np. *aye* znaczy tak, *aye, aye* =



część, *I da ken* = nie wiem, *fit like* = jak się masz) i wbrew pozorom nie jest to rzadkość, w jednym zdaniu potrafią wtrącić parę takich słówek. Ale przynajmniej nie trzeba się martwić o ładny brytyjski akcent, gdyż polskie twarde 'R' i wyraźne akcentowanie jest dobrze przez Szkotów rozumiane. Oczywiście inne narodowości też się pojawiają, ale są w znacznej mniejszości. Zazwyczaj cudzoziemcy pracują w serwisach lub w obsłudze platformy. Zdarzyło mi się trzykrotnie trafić na Polaków, w tym jedną kobietę – pracującą w kuchni. Miałam też okazję pracować w multikulturowym damskim gronie – z Nigeryjką i Chinką. Współpracowało nam się świetnie, szczególnie kiedy pojawiały się świeże ciasteczka w wiertniowej 'kafejce'. Od razu wymienialiśmy telefony i zanim załoga wiercąca zdążyła zejść na przerwę, mogliśmy spałaszować kilka w swoim gronie.

Co do ilości kobiet - to zależy od wiertni, zdarzało się, że byłam w pojedynkę, ale raz trafiłam też na platformę, której szefem była kobieta. Generalnie największe zdziwienie wzbudaliśmy z koleżanką w Polsce, gdzie nikt nie mógł uwierzyć, że dwie dziewczyny są na jednej zmianie i nie mają jakiegoś „szefa” nad sobą. Czasem ułatwia to pracę, bo panowie chętnie pomogą przy przeniesieniu czegoś ciężkiego, albo elektryk bez prośbienia naprawi ogrzewanie w kabinie, ale czasem utrudnia: kiedy nie przyjdę na poranną odprawę, to wszyscy od razu zauważą, że nie ma „tej dziewczyny”.

Czy przeżyłaś może jakąś meteorologiczną przygodę?

Na początku swojej pracy trafiłam na bardzo silny sztorm. Helikoptery nie latały przez parę dni, w pokoju szuflady same się otwierały. Platforma tak się kołysała, że krzesła trzeba było przywiązywać do biurka, a pod prysznicem ciężko było ustać na nogach. Prace były wtedy wstrzymane i większość osób nie mogła wychodzić z budynku mieszkalnego, ale my, ponieważ odpowiadamy za bezpieczeństwo, musieliśmy być na zmianie. Idąc na 'obiad' o północy (miałam nocną zmianę), przez pusty pokład, o który rozbijały się fale, zobaczyłam człowieka leżącego nieruchomo. Przestraszyłam się, myślałam że spadł, lub że fala zmyła go z wieży wiertniczej i w najlepszym przypadku jest nieprzytomny. Gdy podbiegłam bliżej, zobaczyłam nosze leżące obok niego, co znaczyło, że pomoc została wezwana, ale nikogo z ekipy ratunkowej nie było w pobliżu. Gdy nachyliłam się nad leżącym, okazało się, że pod kaskiem 'twarz' jest cała w bandażach. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że tak naprawdę jest to kukła ubrana w pełny strój roboczy. Na obiedzie dowiedziałam się że jest to fantom, używany do ćwiczeń z ewakuacji platformy, które odbywają się co tydzień. Ja jednak długo nie zapomnę widoku nieruchomo leżącego 'ciała' w środku nocy podczas szalejącego sztormu.

Przebywanie z dala od lądu w kole monotonna widoków kręgu wód może być nużące, a nawet depresyjne. Jak często „schodzisz” na ląd? A kontakty z rodziną i przyjaciółmi. Twoje zainteresowania?

Uwielbiam morze i uważam, że nigdy nie jest monotonne, w zależności od pogody widoki zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zwykle zaraz po powrocie z platformy szłam na plażę popatrzeć na morze z lądu, ponieważ spacer wybrzeżem jest dla mnie najlepszą formą odpoczynku po pracy. Oczywiście



praca na lądzie miała dużo plusów – spało się w wygodnym hotelu, można było wyjść do kawiarni, pozwiedzać, czy po prostu pospacerować po parku.

Pracuję w systemie rotacyjnym, czyli 2 tygodnie pracy w terenie, potem 2 tygodnie wolnego. Czasem zostaję w pracy parę dni dłużej, a czasem mam nawet miesiąc wolnego, zależy jak wiele odwiertów jest realizowanych w danym momencie.

Znajomi chyba przyzwyczaili się do mojego trybu pracy, więc właściwie zapomniałam o istnieniu telefonu (na platformie nie ma zasięgu, wszyscy wiedzą, że ciężko się do mnie dodzwonić, raczej korzystamy z internetu), a każdy mój przyjazd jest okazją do zorganizowania jakiegoś spotkania. Rodzina oczywiście tęskni i martwi się, szczególnie o loty helikopterem. Jednocześnie cieszy się, że mogę pracować w swoim zawodzie i że praca sprawia mi dużo satysfakcji.

Moją pasją są podróże, ten zawód pozwala mi ją realizować. Szczególnie ciekawe miejsca mogłam zobaczyć pracując we Francji, gdyż wiertnie znajdowały się w urokliwych miasteczkach niedaleko Paryża. W Szkocji też jest wiele okolic wartych obejrzenia. Wiele tu zamków, parków i miejsc kultu. Nawet koło naszego biura znajduje się prehistoryczny kamienny krąg!

Na platformie pracujesz już ...?....miesiące. Jak dzisiaj oceniasz swoją decyzję i co, Twoim zdaniem, jest pozytywne, a co negatywne w organizacji pracy i w warunkach na platformie?

2,5 roku. Jestem bardzo zadowolona z mojej pracy. Uważam, że to fantastyczna przygoda, pozwalająca poznać wiele ciekawych miejsc i spotkać interesujących ludzi – na samych platformach, ale też w drodze, na lotniskach, w miejscowościach, do których przyjeżdżam. Mam okazję uczyć się ciągle nowych rzeczy - bo poza geologią i wiertnictwem musiałam poznać podstawy mechaniki, elektryki czy informatyki. Większość usterek trzeba na bieżąco naprawić samemu, często nie posiadając koniecznych narzędzi, podczas niekorzystnych warunków atmosferycznych lub pracując w ciężko dostępnym miejscu. Wiele też dowiaduję się o sobie, uczę się przełamywać swoje lęki. Często przekonuję się, że rzeczy, których nigdy nie robiłam, wcale nie są skomplikowane i że wszystko da się naprawić, wystarczy tylko dużo determinacji. Minusami na pewno są długie godziny pracy (pracujemy po 12h) i zmęczenie z tym związane, ogromny stres, gdy coś przestaje działać, włączy się alarm, lub widać, że parametry przekra-

czają 'bezpieczne normy'. Czasem dochodzą też problemy z porozumieniem się np. z wiertaczem, który mówi tylko po francusku (i kiedy mu tłumaczę, że mamy przyływ płuczki - co jest pewnym zagrożeniem - on myśli, że pytam się o prędkość wiercenia). Na szczęście znam język hiszpański i niektóre słowa wiertnicze w obu językach są podobne, więc przy użyciu paru słów 'kluczy' udało się uniknąć tragedii. Dodatkowo kłopotliwe jest używanie różnych jednostek mierniczych. Stopy czy funty jeszcze można przeliczać w pamięci, ale jeśli chodzi o jednostki gęstości, stężenia lub różnice między baryłką angielską a amerykańską - wciąż mam z tym problem. Oprócz tego utrudnieniem może być konieczność ciągłych wyjazdów - które z jednej strony

są bardzo ciekawe i mi osobiście sprawiają dużo radości, a z drugiej strony są męczące i w przypadku lotu helikoptrem niezbyt bezpieczne.

Dziękuję za interesującą i treściwą relację dla Wiadomości Bocheńskich.

Rozmawiała E. Mroczek

P.S. Od czasu naszej internetowej rozmowy nastąpiły zmiany warunków pracy pani D. Murczyńskiej. Pozostając w tej samej firmie, pracuje obecnie na stałym lądzie, na wyższym stanowisku w nadzorze platform z różnych rejonów świata. Jej nowe zadania to transfer danych, kontrola jakości i prawidłowości wierceń. Gratulujemy serdecznie.

Stanisław Kobiela

Sprawa polska w czasie powstania styczniowego

Po wojnie krymskiej

Po przegranej przez Rosję wojnie krymskiej (1856) Francja w walce o dominację w Europie już w czasie Kongresu Paryskiego (1856 r.) szukała zbliżenia z Rosją, tym bardziej, że nowy car Aleksander II zapowiadał liberalny kurs - „głasność”. Książę Górczakow ówczesny minister spraw zagranicznych Imperium Romanowów, który z pogardą odnosił się do Austrii za jej „niewdzięczną neutralność” w wojnie krymskiej, chętnie widział Francję w roli sprzymierzeńca¹. Sprawa przywrócenia konstytucji dla Królestwa Polskiego nie weszła jednak pod obrady kongresu, wobec sprzeciwu Anglii. Napoleon III zadowolony się oświadczeniem Rosji, że car Aleksander II dobrze traktuje Polaków i planuje w Królestwie Polskim poważne reformy.

Aleksandra II niepokoiła tylko natura Napoleona III parweniusza i spiskowca na tronie, opiekuna buntujących się narodów przeciwko prawowitym władcom, prowadzącego nieobliczalną politykę, a zwłaszcza wyznającego niebezpieczną dla Rosji zasadę narodowości, która w sprawie polskiej mogła odegrać istotną rolę. Lud Paryża żywo reagował na to, co działo się w Warszawie, a wypadki lutowe 1861 r. obudziły jeszcze większą sympatię do Polaków. Rządowe gazety „Monitor” i „Continental”, ostrzegały przed złudzeniem, że rząd dodaje zachęty nadziejom, których spełnić nie jest w stanie. Stronnictwo Czarotoryskich, pamiętające przecież brak zainteresowania Francji i Anglii w sprawie polskiej w 1831 r., nie wierzyło tym doniesieniom prasowym. Po krwawych wydarzeniach kwietniowych (1861) w Warszawie, parlament angielski wypowiedział się na temat wolnej przyszłości narodu polskiego, ale takie wypowiedzi miały bardziej na celu osłabienie sojuszu rosyjsko-francuskiego, niż konkretną pomoc dla Polski².

Wybuch powstania styczniowego postawił Napoleona III w trudnej sytuacji. Sympatia ludu Paryża dla wywoleńczej walki nad Wisłą widoczna była na ulicach, w kawiarniach, teatrach. Wszędzie rozlegały się okrzyki na cześć Polski zrywającej pęta blisko stuletniej niewoli. Opinia publiczna nie pozwalała opuścić rąk Napoleonowi III, który publicznie głosił zasadę

narodowości, a tym bardziej wiązać się teraz z barbarzyńskim tyranem, który odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Nie pozwalało na to braterstwo krwi, przelanej za Francję w dobie Napoleona Bonapartego. Uwikłany jednak militarnie w „meksykańską awanturę”, cesarz Francuzów zdawał sobie sprawę ze słabości Francji, ale nie mógł się do tego przyznać. Uświadomił rządową większość parlamentarną, że nie życzy sobie interpelacji w sprawie polskiej. Zawieszono wydawanie we Francji polskich czasopism emigracyjnych. W pierwszej chwili ani we Francji, ani w Anglii nie było wiadomo czy w Królestwie Polskim wybuchło powstanie na wzór walki wywoleńczej Garibaldiiego, czy była to rewolucja robotnicza oparta na ideałach Marksa. Dyplomacja rosyjska wykorzystywała tę niewiedzę i szerzyła kłamliwą propagandę o polskiej rewolucji, zmierzającej do wywrócenia porządku społecznego w Europie³.

Zbliżenie rosyjsko-pruskie

Minister Górczakow przypomniał Prusom i Austrii o konwencji Świętego Przymierza z 1857 roku w sprawie wzajemnego wydawania dezertów i przestępców i teraz żądał jej przestrzegania. Austria nie przejęła się tym wezwaniem. Zaleciła tylko nadzorowanie granicy i niewydawanie zbiegów władzom carskim. Bismarck natomiast polecił skoncentrowanie na granicy Prus i Królestwa czterech korpusów wojska (połowa całej armii Prus) i kazał rozpuszczać budzące panikę wieści o rozszerzeniu się powstania w kierunku Prus. 30 stycznia 1863 r. zaproponował Rosji podjęcie rozmów na temat zwalczania polskiego ruchu narodowego i z misją tą wysłał gen. Gustava von Alvenslebena⁴.

Już w czasie wojny krymskiej Bismarck, nieubłagany wróg polskości obawiał się, że Austria wskrzesi Polskę. W czasie odwilży posewastopolskiej i polityki margrabiego Wielopolskiego sądził, że niebezpieczeństwo to zagraża bardziej ze strony Rosji, a liberalna polityka Aleksandra II wobec Królestwa służy zacieśnianiu porozumienia rosyjsko-francuskiego. Znał także krążącą w latach 1861-1862 w stolicy Rosji opinię carskiego

otoczenia, że Królestwo Polskie jest zbyt dużym obciążeniem dla Imperium Romanowów (*Il faut se débarasser de la Pologne*)⁵.

Konwencja Alvenslebena

Konwencja podpisana 8 lutego 1863 r., niemal w całości zredagowana pod dyktando Alvenslebena gwarantowała, że obie strony będą udzielały sobie wzajemnej pomocy na żądanie dowództwa rosyjskiego w Warszawie i pruskiego w Poznaniu oraz dowódców lokalnych. Zezwalała na przekraczanie w razie potrzeby granicy w pogoni za powstańcami, a granica ta ciągnęła się aż do Opolu. (art. 1). W tajnym artykule drugim rząd rosyjski zobowiązywał się do dostarczania Prusom informacji o knowaniach politycznych dotyczących Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Było to mistrzowskie posunięcie Bismarcka, gdyż za jednym zamachem mógł osiągnąć dwa cele: spowodować wzrost tendencji antypolskich w Petersburgu i skłócić Francję i Rosję z mocarstwami zachodnimi. Dostrzegając te niebezpieczeństwa Gorczakow, niechętny współpracy z Prusami, ale car Aleksander II Romanow powiązany tradycją współpracy zaborców Polski i sentymentami dynastycznymi prusko-rosyjskimi (król pruski Wilhelm I był wujem cara Aleksandra II) poparł najwinnie inicjatywę pruską według propozycji Alvenslebena. Car był nad wyraz serdeczny wobec Alvenslebena, wyraził radość, że w chwili kiedy inne kraje europejskie mają do niego pretensje z powodu Polaków, jedynie Prusy występują z przyjaznym gestem⁶.

Bismarck wokół tego wydarzenia tworzył odpowiednią atmosferę. Proponował posłowi rosyjskiemu w Berlinie wkroczenie wojsk pruskich do Królestwa na wypadek, gdyby Rosjanie się z niego wycofali, a Anglię i Francję zawiadomił, że nie dopuści do odrodzenia się niepodległej Polski. Puszczając także „balony próbne” do Polaków na temat odbudowania Polski w związku z Prusami. Te ofensywne posunięcia Bismarcka zakończyły się porażką w sejmie pruskim 26 lutego 1863 r., który opowiedział się za neutralnością w stosunku do powstania i skrytykował sojusz Bismarcka z konserwatywnym caratem, a wielu liberalnych posłów nie szczędziło wyrazów sympatii dla Polaków. Krytycznie odniósł się do próby rozszerzenia znaczenia konwencji minister Gorczakow, który przypomniał, że konwencja nie pozwala na jednostronną i niezgodzoną interwencję pruską.

Słusznie niektórzy historycy przyrównywali kanclerza Bismarcka do ucznia czarnoksiężnika, który rozpętuje nieznaną moc, a potem nie potrafi nad nimi zapanować. Z punktu widzenia późniejszych wydarzeń (klęska powstania, Sadowa 1866 i Sedan 1870) zawarcie konwencji prusko-rosyjskiej było mistrzowskim posunięciem Bismarcka, ale tuż po zawarciu konwencji ujawniły się negatywne jej skutki dla Prus.

Konwencja umiędzynarodowiła sprawę polską. Izolowała wprawdzie Rosję, ale zarazem jednoczyła opinię międzynarodową przeciwko Rosji i Prusom. Słusznie zauważył książę Władysław Czartoryski, że bez konwencji Alvenslebena byłoby trudniej umiędzynarodowić powstanie.

Bismarck żałował później, że konwencja ta została zawarta, ponieważ miał z tego powodu wiele przykrości ze strony Anglii, Francji, Austrii oraz własnej pruskiej opinii publicznej⁷. Próbował nie tylko ją bagatelizować, sugerując, że jest to tylko porozumienie graniczne, ale chciał się z niej wycofać albo ją unicestwić. *Polacy są rozpalonym żelazem* – mówił Bismarck

- *ale w razie, gdybyśmy mieli wojnę z Rosją, chwycę za to rozpalone żelazo, aby Rosję porazić.*

Pierwsze reakcje Francji, Anglii i Austrii

Pozornie idealnie prorosyjska konwencja godziła więc swym ostrzem w sojusz francusko-rosyjski i Napoleon III uznał ją za osobistą zniewagę oraz zerwanie porozumień rosyjsko-francuskich. Zaangażowanie Prus w sprawę polską mógł teraz Napoleon III wykorzystać do zmiany swojego stosunku wobec powstania, zgodnie z francuską opinią publiczną. 20 lutego 1863 r. zawiadomił cara, że rząd rosyjski, zarządzający brankę ponosi odpowiedzialność za wybuch narodowego powstania, którego nie można traktować jako rewolucji. Car może stłumić powstanie, ale jeśli będzie przestrzegał prawa międzynarodowego (traktatu pokojowego z 1815 r.) i przywróci konstytucję dla Królestwa Polskiego, to osiągnie moralny sukces oraz zwiększy wpływy Rosji w Europie. Odpowiedź cara była negatywna.

Gorczakow odpowiedział, że w Królestwie trwa rewolucja komunistyczna, więc niech Francja wybiera, czy chce zachować sojusz z Rosją, czy stworzyć niezależne państwo polskie, *kwiat bez łodygi, pupila niespokojnego, ruchliwego, nigdy niezadowolonego ze swojego losu.*

Kuzyn cesarza, ks. Napoleon Bonaparte przedstawił plan wielkiej ofensywy militarnej przeciw Prusom i Rosji. W jej wyniku Włosi odzyskaliby Wenecję, Szwedzi Finlandię, Austriacy hegemonię w Niemczech, a Francuzi lewy brzeg Renu, ale Napoleon III plan ten uznał za sen, który może dopiero kiedyś się spełni. Za pośrednictwem Hotelu Lambert wpływał na to, aby powstanie trwało jak najdłużej i obóz białych włączył się do niego, co potwierdzi ogólnonarodowy charakter zrywu. Po tej deklaracji z 16 lutego 1863 r. stronnictwo Białych poparło powstanie.

Równocześnie Napoleon III podjął tajne rozmowy z Wielką Brytanią, w celu dyplomatycznego poparcia sprawy polskiej. Po zawarciu porozumienia prusko-rosyjskiego rząd angielski zainteresował się sprawą polską. 27 lutego 1863 r. w Izbie Gmin konserwatyści i wigowie potępili rosyjską brankę, postępowanie Rosjan wobec Polaków i konwencję Alvenslebena. Chociaż wystąpiło 22 mówców, nie domagano się wojny z Rosją. Premier Wielkiej Brytanii Henry Palmerston, kierując się zasadą *balance of power* (równowagi sił w Europie) zachęcał Napoleona III do zerwania porozumienia francusko-rosyjskiego. Sprzeciwił się jednak propozycji Napoleona wysłania do Prus wspólnej francusko-angielsko-austriackiej noty, protestującej przeciwko konwencji Alvenslebena uznającej, że Prusy rozszerzają teatr wojny i zmieniają sprawę polską w europejską.

Także Austria, która zachowywała się chwiejnie, odrzuciła pomysł takiej noty, wskazując, że podsycalaby ona aspiracje narodowe, co jest sprzeczne z austriacką ideą państwową. Napoleon III rozważał sojusz militarny z Austrią i Włochami, aby wspólnie uderzyć przeciw sygnatariuszom konwencji Alvenslebena. Proponował Austrii odbudowanie Polski pod berłem jednego z habsburskich arcyksiążąt. Dzięki temu Austria odzyskałaby Śląsk i hegemonię w Niemczech, a Włosi Wenecję. Plany te nie miały jednak żadnych szans powodzenia.

Europejskie sympatie dla powstania

„Dzięki patriotyzmowi i zuchwalstwu młodzieży – pisał Śliwiński - Polska wyłaniała się z odmętu zapomnienia i stojąc z orężem w dłoni w obliczu świata, niby krwawy wyrzut sumie-

nia zjawiała się na widowni dziejowej. Czego nie mogły dokonać straszne jęki rozpaczy, przez lata całe szturmujące sumienie Europy, tego dokonał nagle oręż polski wzniesioną dłonią, a zapomniana sprawa polska stała się zagadnieniem międzynarodowym⁸”.

Polskie powstanie wzbudziło entuzjazm i podziw w całej Francji. W wielu miastach odbywały się mityngi, marsze poparcia dla powstania styczniowego, zbiórki pieniędzy na broń dla walczących powstańców, domagano się wojny z Rosją i mocnego poparcia powstania w imię honoru Francji.

Wiktór Hugo, z wygnania na wyspie Jersey, napisał 13 lutego list do żołnierzy rosyjskich: *Zamordować naród – to niepodobna! Jak gwiazda osłonięta na chwilę chmurami występuje on znowu na widownię... Dowodem tego Polska. Polska dziś jaśnieje, wprowadzie nie pełnym życiem, ale chwałą pełną. Wszystko światło ku niej wróciło. Polska zdeptana, krwią zalana, a mimo to w górę wyprostowana – ośniewa cały świat. Narody żyją, despoti umierają! Oto prawo od Boga nadane. Naród użyty za kata drugiego narodu spodłony jest. Życzę Polsce przywrócenia wolności, a Moskwie odzyskania honoru. Tak jest, nie tylko życzę, ale wyglądam... Tak jest. Polska będzie triumfować. Gdyby bowiem zginęła na zawsze, to śmierć jej była by mniej więcej śmiercią dla nas wszystkich. Polska jest częścią serca Europy. W dniu, kiedy w Polsce przestałby bić puls ostatni – całą Europę ogarnęłoby zimno grobowe. Pozwólcie mi przeto panowie z oddali wznieść od serca okrzyk: Niech żyje Polska! Niech żyje wolność człowieka!*

Giuseppe Mazzini, włoski rewolucjonista, zorganizował akcję pomocy dla powstania styczniowego. Do „braci Polaków” pisał, że obok nieuchronnego odrodzenia Polski misją ich winno się stać odrodzenie całego słowiańskiego Wschodu. Nawiązując do Mickiewicza, wzywał Polaków: *Stańcie się przewodnikami myśli słowiańskiej, której wasi poeci byli prorokami*. Studenci i robotnicy skandowali swoje poparcie pod domem Joachima Lelewela w Brukseli. Propolskie wiece odbywały się we Włoszech, gromadzono składki na powstanie, składano tysiące petycji, domagających się pomocy dla Polski. Ewentualna wojna europejska o Polskę otwierała przed Włochami szansę odzyskania Wenecji.

W przypadku wojny Garibaldi widział włoską wyprawę zbrojną do Polski jako sprawę honorową i spłacenie długu zaciągniętego wobec Polaków, którzy bili się w szeregach Garibaldi. *Nie opuszczajcie Polski* – głosiła słynna jego odezwa skierowana do narodów Europy. We wszystkich środowiskach węgierskich w kraju i na emigracji sympatie dla Polaków były ogromnie żywe. Węgrzy wykazywali entuzjazm i gotowość od wzajemnienia się za pomoc polską udzieloną powstaniu węgierskiemu 1848 r.

Angielska opinia publiczna była bardzo przychylna dla powstania. Ożywioną działalność prowadziły arystokratyczne i demokratyczne kręgi emigracji polskiej. Organizowano zbiórki pieniędzy, wiece poparcia i pochody uliczne. Podejmowano liczne rezolucje, z których dwie dotarły do angielskiego premiera. Sprawę polską popierały także środowiska rosyjskich rewolucjonistów i demokratów, a także angielskich katolików, żądające, aby rząd udzielił wyraźnego poparcia „narodowi męczenników”.

Pomyślnie oceniał w Londynie szanse powstania Karol Marks, a Engels 17 lutego 1863 r. pisał do Marksa: *Polacy to wspaniałe zuchy. Jeśli będą się trzymać do 15 marca, to rewolucja zacznie się w całej Rosji. Teraz szanse powstania górują*

nad groźbą kłeski. Karol Marks pisał manifest w sprawie powstania, skierowany do niemieckiego związku robotników, ale zrezygnował w maju 1863 r., kiedy stało się dla niego oczywiste, że powstanie ma charakter narodowy, a nie rewolucyjny. Wysłał jednak odezwy do robotników niemieckich w Anglii, Niemczech, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych, wzywające do składek na rzecz Polski⁹.

Międzynarodowe legiony

Już w lutym 1863 r. zrodziły się pomysły powołania legionów: włoskiego, rosyjskiego i węgierskiego. Ostatecznie do ich powstania nie doszło, ale te propolskie sympatie i opinie publiczne oddziaływały na postawę rządów europejskich krajów. Wyprawa morska parowca „Ward Jackson”, wiozącego dla powstańców 185 ochotników różnej narodowości, dwa działa i tysiąc karabinów, starym szlakiem przerzutowym z 1830 r. przez cieśninę Sund do litewskiej Poługi, zakończyła się internowaniem załogi w szwedzkim porcie Malmö¹⁰, a jej kontynuacja statkiem „Emilia”, w wyniku burzy morskiej zakończyła się tragicznie. Nierealny okazał się włosko-polski plan morskiej ekspedycji i desantu na wybrzeże Morza Czarnego, w celu opanowania Odessy. Wyprawą miał dowodzić syn Garibaldi - Menotti. W tym celu w tureckiej Bułgarii formował się 2000 oddział polskich ochotników, ale wyprawie sprzeciwił się Napoleon III. Na propozycję Kossutha utworzenia 5000 legionu węgierskiego i rozszerzenia powstania na Galicję, co rozpętało by wojnę włoską, nie mógł zgodzić się Rząd Tymczasowy, skoro Austria popierała wtedy powstanie.

Wzajemna nieufność

Anglia widziała, że Napoleon III wykorzystuje sprawę polską do realizacji zaborczych planów zajęcia terenów nad Renem, co narusza zasadę równowagi europejskiej. Austria bała się, że w wyniku zmian granic może ponieść więcej strat niż korzyści. Mocarstwom tym odpowiadało zerwanie sojuszu francusko-rosyjskiego. Obawiały się jednak samodzielnej akcji militarnej Napoleona III, dlatego opowiedziały się za kontynuowaniem akcji dyplomatycznej. Bismarck już 2 tygodnie po zawarciu konwencji zrozumiał swój błąd i zapewnił Francję i Anglię, że umowa nie była ratyfikowana i dlatego nie obowiązuje. Ostatecznie po porozumieniu z Rosją stwierdził, że konwencja obowiązuje w teorii, a w praktyce nie będzie stosowana.

Noty kwietniowe i podwójna gra Austrii

Dwa miesiące później mocarstwa zachodnie (Francja, Anglia, Austria) rozważały wysłanie do Rosji kilku lub wspólnej noty protestacyjnej. Stefan Kieniewicz pisał, że rząd angielski ostrzegł, „aby była to nota łagodnie-mocna, pojednawczo-grożąca, mówiąca mniej niż oznacza i znacząca mniej niż mówi, aby mogły ją podpisać wszystkie mocarstwa”. W Paryżu, Wiedniu, a nawet Berlinie, sondowano możliwość odbudowania Polski pod takim czy innym monarchą. Nie było także do końca jasne, czy nota będzie zbiorowa, identyczna, czy tylko równoczesna. Ostatecznie uradzono, że trzy noty różnej treści będą miały wspólną tylko datę 10 kwietnia 1863 r., a Górczakow otrzyma je 17 kwietnia 1863 r. Nota francuska wyrażać będzie ubolewanie nad wypadkami polskimi i wyrażać życzenie trwałego pokoju w interesie Europy, austriacka – zwracać uwagę na reperkusje, jakie mogą pojawić się w Galicji, a angielska – najmocniejsza - wytykać będzie Rosji zlekcewa-

zenie prawa międzynarodowego, czyli postanowień kongresu wiedeńskiego z 1815 r. i niedotrzymanie obietnicy kongresowej przywrócenia Królestwu Polskiemu konstytucji. Żadna z not nie będzie zawierać konkretnych żądań pod adresem Rosji. Należy dodać, że wszystkie te mocarstwa były gwarantami realizacji postanowień tego kongresu z 1815 r.

Trzy noty tej treści zostały wysłane do Petersburga, a jednocześnie austriacki minister Rachberg wysłał osobną tajną notę do cara, w której stwierdzał, że, pomimo udziału Austrii w interwencji dyplomatycznej, nie ma ona żadnych wrogich wobec Rosji zamiarów. Był to pierwszy sygnał nieszczerości Franciszka Józefa wobec mocarstw zachodnich. Aleksander II był już pewny, że ma do czynienia z koronowanym habsburskim wiarołomcą, któremu nigdy ufać nie można, i który zasługuje na pogardę.

Anglia i Austria występowały w roli „hamulcowych”. Mniejsze państwa jak Włochy, Szwecja, Dania, na wypadek wojny popierały Napoleona III i proponowały mu sojusze wojskowe: Włochy z myślą o odzyskaniu Wenecji, Szwecja – Finlandii, Dania – o zabezpieczeniu Szlezewiku i Holsztynu. Francja proponowała papieżowi Piusowi IX ujęcie się za Polską, ale papież był niechętnie nastawiony do powstania. Pod naciskiem Francji sprawę polską poparli inni sygnatariusze kongresu wiedeńskiego: Szwecja, Dania, Holandia, Hiszpania i Portugalia, a także Włochy i Turcja.

Od poparcia sprawy polskiej uchyliły się Stany Zjednoczone. Tłumaczyły, że nie mieszają się w wewnętrzne sprawy innych państw, a Sekretarz Stanu, uznając, że car reprezentuje liberalizm i postęp, a powstańcy reakcję i anarchię, wysłał do Petersburga notę życzliwą dla Rosji i rozesłał ją do rosyjskiej prasy, dając moralne poparcie carowi. Radość cara Aleksandra II nie miała granic. Widząc taką życzliwość i głupotę Sekretarza Stanu USA, wysłał na zimę rosyjską flotę wojenną do Nowego Jorku i San Francisco pod opiekuńcze skrzydła Stanów Zjednoczonych, na wypadek konfliktu z Anglią¹¹. Warto, przy okazji dodać, że car Aleksander II w 1867 r. wpadł na „genialny” pomysł sprzedania Stanom Zjednoczonym za przysłowiowe grosze Alaski, „bezwartościowej krainy wiecznego śniegu i lodu”, a jego agenci korumpowali nawet kongresmenów USA, aby rząd amerykański przypadkiem nie rozmyślił się.

Durez! (Trwajcie!)

Dla dalszego trwania powstania i jego strategii szczególnie ważne było poznanie planów zachodnich mocarstw w sprawie polskiej. Władysław Czartoryski spotykał się z Napoleonem III i jego otoczeniem. Sam cesarz zachowywał się z rezerwą. Mówił, że bez Austrii trudno jest wojować, że pomoc finansową i broń trudno będzie dostarczyć. Jego stryjeczny brat, książę Napoleon Bonaparte, opowiadał się za akcją militarną. W końcu cesarz pozbył się go, wysyłając do Egiptu. Ministrowie cesarza sugerowali, że trwanie i rozszerzanie powstania jest niezbędnym warunkiem sukcesu. Na pytanie Czartoryskiego, czy powstanie powinno trwać dalej, minister Druon odpowiedział: *Nie mogą się powstrzymać od powiedzenia: Durez !!! (Trwajcie!)*. To samo w różnych wariantach powiedzieli mu francuscy ambasadorowie, Metternich i Cowley. Taką też odpowiedź przekazał Czartoryski powstańczemu Rządowi Tymczasowemu, informując, że „jeszcze nie wiadomo, czy sprawa polska rozstrzygnięta zostanie na drodze pokojowej czy wojennej, ale tylko dalsze trwanie ruchu polskiego jest niezbędne, bo tylko ono może dać negocjacjom dyplomatycznym podstawę silną, aby coś trwalszego i bezpiecznego zbudować lub konieczność wojny wykazać”. Minister Walewski

w imieniu rządu francuskiego zapewniał, że *sprawa polska od czasu rozbiorów nie stała lepiej, że pomyślnie jej rozstrzygnięcie zdaje się nie ulegać kwestii*.

Noty czerwcowe i faul ambasadora Anglii

17 i 18 czerwca 1863 r. Francja, Anglia i Austria zdecydowały się wysłać do Petersburga nowe noty dyplomatyczne. Ograniczały się one już tylko do autonomii Królestwa Polskiego i domagały się spełnienia sześciu warunków: całkowitej amnestii, przedstawicielstwa polskiego z prawem ustawodawstwa, polskiej administracji, swobody sumienia i swobody dla Kościoła katolickiego, języka polskiego w urzędach, sądach i szkołach, praworządnego poboru do wojska, a ponadto zwołania konferencji 8 sygnatariuszy kongresu wiedeńskiego i zawieszenia broni na czas trwania konferencji. Noty te poparte zostały notami rządów Szwecji, Danii, Królestwa Niderlandów, Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Imperium osmańskiego. Ani jedna nie wspominała słowem o Litwie i Rusi, co boleśnie dotknęło uczucia narodowe, ani o krwawym terrorze stosowanym przez Murawiewa, o czym Europa dobrze wiedziała. Była to więc jałmużna dla powstańców, ochłap fałszywego miłosierdzia, wskazujący, że mocarstwom tym nie leży na sercu sprawa polska.

Stefan Kieniewicz pisze, że car poważnie liczył się z możliwością wybuchu wojny i kazał opracować plan obrony Kronsztaadu i Petersburga oraz zakupić za granicą duże ilości broni, żelaza, saletry, ołowiu i cyny. W czerwcu dla Rosji na wagę złota była informacja, że groźba wojny jest tylko bluffem mocarstw zachodnich. Górczakow bał się popełnić błąd swojego poprzednika z 1853 r., któremu groźba interwencji w wojnie krymskiej wydawała się bluffem, a okazało się inaczej. 17 czerwca 1863 r. car informował swojego brata W.K. Konstantego Mikołajewicza w Warszawie: *Nieżyczliwość Francji i Anglii jest tak silna, że wcale nie można ręczyć, czy nie dojdzie do wojny, nawet jeszcze w tym roku*. Car sondował, co zrobią Prusy w przypadku zaatakowania Rosji przez zachodnią Europę. Myślał o odnowieniu Świątego Przymierza. Bał się.

Na krawędzi wojny światowej

Rosja mogła iść na ustępstwa albo odrzucić żądania, ryzykując wybuch wojny z przeciwnikiem o wiele silniejszym niż w czasie wojny krymskiej. Do takiej wojny nie była przygotowana. 342 000 wojska nie potrafiły uporać się z powstańcami. Bazy bałtyckie i czarnomorskie mogły ochraniać 150 000 wojska, a świeże rezerwy 200 000 żołnierzy nie miały ekwipunku i formowały się zbyt wolno. Na wypadek rozruchów chłopskich Rosja nie miałaby wojska do ich stłumienia.

Sytuacja była groźna, a Rosja balansowała na krawędzi wojny¹². Przyjęcie warunków musiałoby oznaczać, że „buntownicy” staną się stroną wojującą. Duma narodowa i rozbu-chany w tym czasie nacjonalizm rosyjski na to nie pozwalały. Domagano się ukarania Polaków i odrzucenia żądań Zachodu „wtrącającego się” w wewnętrzne sprawy Rosji. Podobno Górczakow czuł się bardzo niepewnie – pisze Kieniewicz - i jakiegoś dziennikarzowi wyznał: *Podpisaliśmy weksel, idzie teraz o to, jak go zapłacić*. Zamierzał odpowiedzieć na noty łagodnie i w sposób wymijający, ale w podjęciu stanowczej decyzji pomógł mu ambasador angielski, który wyznał mu, „w zaufaniu”, że interwencja mocarstw europejskich ma charakter wyłącznie humanitarny i że noty żadnych negatywnych następstw nie będą miały. Ponadto w ważnej sprawie noty różniły się od

siebie. Noty angielska i francuska dopominały się ustanowienia polskiego ustawodawstwa w oparciu o konstytucję z 1815 r., zaś nota austriacka – tylko udziału Polaków w ustawodawstwie carskim i kontroli administracji kraju.

Rosja z nas kpi

Już 13 lipca 1863 r. Rosja odrzuciła w sposób niezwykle szorstki, ironiczny i obraźliwy 6-punktowe noty, projekt zawieszenia broni i zwołania konferencji pokojowej. Gorczakow oświadczył, że noty czerwcowe na nic się nie przydadzą, skoro powstańcy chcą Polski niepodległej od morza do morza. Napisał, że powstanie jest „bezprzykładną w historii formą terroryzmu”... „rzekome rosyjskie okrucieństwa są beczelnym oszczerstwem i zniewagą wyrządzoną bohaterom rosyjskim żołnierzom... a „Polacy chcą panować nad terenami, gdzie przeważa ludność rosyjska, która woli cara niż Polaków”. Łaskawie „zgodził się” na konferencję trzech mocarstw rozbiorowych (Rosji, Prus i Austrii) Odpowiedź na notę angielską była najostrzejsza, na notę francuską – łagodniejsza, a na notę austriacką – pogardliwa.

Ta brutalna reakcja, lekceważąca prawo międzynarodowe (postanowienie kongresu wiedeńskiego z 1815 r.), spadła na europejskie mocarstwa jak grom z jasnego nieba i wywołała powszechne oburzenie europejskiej opinii społecznej, a zwłaszcza francuskiej, która domagała się wojny z Rosją.

Kompromitacja europejskiej dyplomacji

Angielski „Times” zapewniał, że Wielka Brytania nie chce wojny z Rosją. Lord Russell pytał w parlamencie: *Czyż mamy wdawać się w wojnę o przywrócenie Polski w granicach z 1772 r. z Galicją i Poznaniem?, Polski z ustrojem republikańskim i demokratycznym? Gdzie są granice Polski, i gdzie granice wojny.* Za plecami Russella stała już przeciwna wojnie angielska City i jej interesy biznesowe z Rosją. Oburzano się na odpowiedź Gorczakowa, ale nikt nie myślał kląć się o to z Rosją. Francuzi zarzucali, że Wielka Brytania, poróżniła Francję z Rosją, a teraz wycofała się rakiem, zostawiając Polaków na lodzie. Lord Russell w odpowiedzi na memoriał Czartoryskiego z 20 września 1863 r., przygotował 8 października symboliczną notę do Petersburga stwierdzającą, że Rosja utraciła prawa do Królestwa Polskiego. Zmienił ją premier Palmerston, twierdząc, że naruszyłaby ona postanowienia kongresu wiedeńskiego. W złagodzonej wersji stwierdzała: *JKM nie wątpi, że jest intencją cesarza Rosji uznanie praw Królestwa Polskiego do konstytucji.* Po jej wysłaniu telegraficznie, premier Palmerston wstrzymał ją i jeszcze bardziej złagodził. W ostatecznej redakcji, z 20 października była już tylko kompromitującym bełkotem, ironicznie skomentowanym przez Gorczakowa¹³.

Jeszcze przez miesiąc Napoleon III ludził się, że z Austrią uda się przeprowadzić akcję militarną, bo Austria zareagowała ostro na odpowiedź Gorczakowa, ale stanowisko Austrii miało jedynie na celu zyskanie przychylności Napoleona III w konflikcie Austrii z Prusami o hegemonię nad państwami niemieckimi. Skoro jednak pojawiła się dla Franciszka Józefa droga do porozumienia z Prusami, zaprzestął akcji propolskiej. Chciał jeszcze Napoleon III zwołać kongres europejski, ale żadne mocarstwo nie poparło tej inicjatywy. Opinia publiczna, zmęczona tematem, także odwracała się od Polski. Sprawa polska stała się nudna – pisał „Morning Herald” – a popularny ideolog socjalizmu drobnomieszczańskiego, Piotr Proudhon, zbałamuniony nachalną propagandą rosyjską, atakując Napoleona III uderzył także w sprawę polską pisząc, że *ruch polski jest szlachecki, katolicki*

i wsteczny. Polska słusznie upadła, bo ciemniżyła chłopów. Wypowiedź ta odbiła się szerokim echem w Europie, a prasa carska w Rosji z ogromną satysfakcją przedrukowała fragmenty tej broszury. Tylko robotnicy francuscy pozostali wierni manifestując na rzecz Polski.

Była to totalna klęska Napoleona III. Dryfował bowiem do pełnej izolacji. Po upadku powstania cesarz Francuzów haniebnie zachował się wobec Władysława Czartoryskiego: *Nie w porę porywacie się do broni. W czasie wojny krymskiej cicho siedzieliście, a teraz powstaliście, gdy w Europie jest spokój.* Odpowiedział Czartoryski, że Polacy działali w obu przypadkach w myśl jego zaleceń. Napoleon III ostatecznie wyrzekł się obrony praw Polski do niepodległości i szukał ponownego zbliżenia z Rosją. Car Aleksander II czuł jednak do niego wstręt. Lekceważąco traktował go kanclerz Bismarck, nazywając „eine grosse verkannte Unfähigkeit” (Wielką niewiadomą niepełnosprawności). Po powstaniu styczniowym runął w Polsce mit Napoleona III i wiara w jakąkolwiek pomoc zachodniej Europy dla Polski. Nie wygasły nigdy sympatie do Garibaldiego, który faktycznie niewiele dla Polski uczynił¹⁴.

28 lutego 1864 r. Austria powróciła do sojuszu państw zaborczych i ogłosiła stan oblężenia w Galicji, co było równoznaczne z klęską powstania. A wcześniej zarówno Bismarck jak i Franciszek Józef myśleli o nowym wariantcie rzezi z 1846 r. Bismarck – w Królestwie, a Franciszek Józef – w Galicji, aby w ten sposób spacyfikować powstanie.

Przypisy:

¹ W przededniu wojny francusko-austriackiej o niepodległość Włoch (1859 r.) Rosja zajęła stanowisko przychylnie dla Napoleona III, a swoimi wpływami w Berlinie powstrzymała Prusy od udzielania jakiegokolwiek pomocy, walczącej na terenie Włoch, Austrii.

² August Sokołowski, *Powstanie styczniowe* (1863-1864), Wiedeń s. 133).

³ Prof. Jerzy Zdrada pisze, że służby dyplomatyczne powstańcze nie były przygotowane na tego typu oszczerstwa zob. Jerzy Zdrada, *Biel, czerwień, czerń – „Polityka”* 2008, nr 8 s.12.

⁴ Pruski attaché wojskowy w Petersburgu płk Leopold von Loen, był w tym czasie na urlopie.

⁵ Jerzy Borejsza, *Piękny wiek*, Warszawa 1984 r., s. 269

⁶ Z perspektywy Sadowy (1866) i zdominowania przez Prusy państw niemieckich łatwo odczytać intencje czulego dla Rosji, Bismarcka, który, zabezpieczając sobie wschodnią flankę, uświadamiał Rosji, że jest lepszy niż paskudna i niewdzięczna Austria.

⁷ Józef Feldman w książce „Bismarck a sprawa polska”, Warszawa 1938 r.

⁸ Artur Śliwiński, *Powstanie styczniowe*, Warszawa 2013, s.148,

⁹ Stefan Kieniewicz, *Powstanie styczniowe* s. 411

¹⁰ Organizatorami wyprawy byli: Giuseppe Mazzini, Aleksander Hercen, Nikołaj Piotrowicz Ogariow, a koszty wyprawy poniósł książę Branicki. Statek wypłynął w nocy z 21 na 22 marca 1863 r. z Londynu. Ambasada rosyjska wiedziała o planowanej wyprawie i umieściła na statku swojego agenta. Pod koniec maja na wynajętym statku „Emilia” legionści zbliżyli się do Połogi, ale burza morska zniweczyła wyprawę. Wielu legionistów utonęło i wyprawa spelzła na niczym.

¹¹ Kieniewicz, s. 440-441.

¹² tamże, s. 589.

¹³ tamże, s. 650-651.

¹⁴ Jerzy Borejsza, *Piękny wiek*, s.290, Henryk Wereszycki. *Franciszek Józef w czasie powstania styczniowego* [w:] Rzeczą o roku 1863. Uniwersytet Jagielloński wobec powstania styczniowego, pod red. A. Zięby, Kraków 2013, s.196.

Janina Żółkiewska

Dom na wzburzonej fali

Okupacyjna historia jednej bocheńskiej rodziny



Dom przy ul. Brzeźnickiej

Bochnia, leżąca na głównym szlaku komunikacyjnym wschód-zachód, liczyła wtedy około 12 000 mieszkańców i była miastem powiatowym dla wielu wsi i osiedli. Krajobrazowo ciekawie położona na przejściu Podkarpacia w Nizinę Nadwiślańską, malowniczo otoczona lasami, pomiędzy którymi kryły się szlacheckie dworki, i górowały baszty wiśnickiego zamku. Z bogactw naturalnych, przede wszystkim była tu sól i kopalnia soli z szczybami „Campią”, Sutorisem” i Gazarisem”. Żyło tutaj lub przewijało się wielu ludzi o ustalonej sławie krajowej i zagranicznej, jak choćby bochniak Jerzy Katlewicz, nasz słynny dyrygent lub Karol Wojtyła, odbywający swój kapłański staż w jednym z kościołów bocheńskiego powiatu. Było to miasto białych górników – jak przystało na górniczy stan – ludzi twardych i odważnych. Takie było to moje miasto, gdy wtargnął do niego wróg i zaczął burzyć jego prawowity byt, a na odruch społecznej niechęci natychmiast reagował krwawym terrorem.

Z całego regionu Ziemi Bocheńskiej a także dawnego GG Bochnia była pierwszą miejscowością, w której okupant – tuż po wkroczeniu – dopuścił się egzekucji na jej mieszkańcach, rozstrzelując grupę 50-ciu mieszkańców tej ziemi. Na ten nieoczekiwany, zaskakujący terror i rozlew polskiej krwi różnie zareagowali mieszkańcy miasta. Zaczęło się „pranie charakterów”. Znaleźli się tacy, którzy zaczęli grzebać w rodowodach, aby wcisnąć się w niemieckie szeregi z kartami volksdeutscha. Inni chcieli za wszelką cenę być niewidoczni, aby tylko przetrwać. W stosunku do ogólnej społeczności, był to niewielki odsetek. Wielu natomiast stanęło do walki z okupantem, poprzez łączenie się w patriotycznym Związku Walki Zbrojnej przemianowanym później na Armię Krajową. Ta organizacja jakby łańcuchem przebiegała od domu do domu, kierując swój bieg w stronę bocheńskich lasów.

Z każdym miesiącem coraz więcej ogniw łączyło ten łańcuch, a każdy z nich był patriotą, gotowym do wykonania powierzonego mu zadania. Musiała ich łączyć wiara w słuszność sprawy, do której zostali zaprzysiężeni. Nie było licznych

zebrań, ani burzliwych dyskusji. Nie była to walka o przekonania, wpływy polityczne, albo korzyści materialne, a ruch ten brał bardzo wiele, często nawet życie, tę największą człowieczą wartość. Dlatego łączyli się w nim najlepsi synowie bocheńskiej ziemi, wierząc, że każde działanie wymierzone przeciw Niemcom, będzie osłabiać ich pewność poruszania się w okupowanym kraju. Cel ten został osiągnięty. Zanim doszło do okrzepnięcia tego ruchu oporu, wszystkie prace przygotowawcze wykonywali szeregowi członkowie tego ruchu. Do takich właśnie szeregowych działaczy należeli moi najbliżsi: kuzynka Dzielska, ojciec, kolega szkolny Tadzio Szlamka, a potem siostra Danusia.



Ludmiła Dzielska

kazywała je ojcu, a od niego wiadomość szła dalej do Tadzia Szlamki, który w konspiracyjnych szeregach wiedział, gdzie dalej ma ją przekazać. Odwiedziny Tadzia w naszym domu nie powinny nikogo dziwić, bo były tam dwie dziewczyny. Pamiętam także, że ojciec na skrzypiącym czterokołowym drewnianym wózku zawsze coś woził, ale wózek miał podwójne dno. Tam niżej była amunicja i broń, które przekazywał dalej, a na wierzchu pokos trawy i gospodarski sprzęt. Często na ściętej świeżej trawie siedziało dwoje małych dzieci; Trusia i Andrzejek, takie rozwrzeszczane bachorki, wypożyczone od Tadziowej siostry Ziuty Fiołek. Wierzyliśmy w zachodnie sojusze, Sikorskiego i siłę aliantów niosących koniec wojny.



Tadeusz Szlamka

wrażenie, że Tadzio podkochiwał się w mojej młodszej siostrzyczce Danusi, którą w domu uważaliśmy jeszcze za dziecko.

Po wyprzedaniu się z domowych wartości stanęliśmy w obliczu głodu. Ojciec zdobył u znajomego farmaceuty ba-

Kuzynka Ludka Dzielska

Kuzynka, młoda germanistka tuż po studiach, została wykorzystana przez Niemców w charakterze tłumaczki. Musiała tłumaczyć z polskiego na niemiecki i odwrotnie, a że słuch i pamięć miała dobrą, z narażeniem życia przekazywała, pewne istotne dla organizacji wiadomości, które udało się jej przechwycić. Przekazywała je ojcu, a od niego wiadomość szła dalej do Tadzia Szlamki, który w konspiracyjnych szeregach wiedział, gdzie dalej ma ją przekazać. Odwiedziny Tadzia w naszym domu nie powinny nikogo dziwić, bo były tam dwie dziewczyny. Pamiętam także, że ojciec na skrzypiącym czterokołowym drewnianym wózku zawsze coś woził, ale wózek miał podwójne dno. Tam niżej była amunicja i broń, które przekazywał dalej, a na wierzchu pokos trawy i gospodarski sprzęt. Często na ściętej świeżej trawie siedziało dwoje małych dzieci; Trusia i Andrzejek, takie rozwrzeszczane bachorki, wypożyczone od Tadziowej siostry Ziuty Fiołek. Wierzyliśmy w zachodnie sojusze, Sikorskiego i siłę aliantów niosących koniec wojny.

Tadzio Szlamka

Tadzio zaczął odwiedzać nas częściej niż wymagała tego konspiracja. Znałam go z ławy szkolnej i pamiętałam, jak obrzucał na przerwach międzykolejnych dziewczyny chrabąszczami i serdecznie rechotał z naszego panicznego strachu. Teraz zadziwił mnie salonowymi manierami i dbałością o wygląd zewnętrzny. Miałam

ryłkę sody kaustycznej, butelkę olejku migdałowego i przepis na dobre mydło. Przemierzałyśmy sąsiednie okolice z tym mydłem i przynosiliśmy wypchane plecaki obfитоściami w postaci kilku garści pszenicy, grochu, kaszy, kilku jajek, albo pół bochenka wspaniałego wiejskiego chleba, którego zapach do tej pory pamiętam. Z tych wypraw wracaliśmy pokrzykując na wiejskich drogach naiwną, ale jakże miłą dla nas piosenkę:

Siekiera, motyka, piłka, graca,
Trzecia Rzesza się wyrwaca.
Siekiera, motyka, piłka, nóż,
W każdym Niemcu siedzi tchórz.

Tak, w moim rodzinnym domu minęły dwa lata okupacji, aż nadszedł ten tragiczny, okrutny dzień 1942 r. w którym zawalił się nasz dotychczasowy świat. W dniu tym Niemcy aresztowali Tadzia. Nie wiemy jaki popełnił błąd, ten nasz dobry, jasnowłosy, zawsze pogodny chłopiec. Osadzono go w więzieniu Montelupich w Krakowie. Póki w człowieku tli się iskra życia, zawsze jest szansa na jego uratowanie. Modlił się i wierzył w szansę dla Tadzia. Z niezrozumiałą dziś naiwnością robiono rzeczowe i pieniężne składki. Po kryjomu zakupywano całe świniaki, które za pośrednictwem Tadziewego brata Frania, miały wpłynąć na łagodniejsze traktowanie więźnia i łagodniejszy wyrok. Tadzio był młody zdrowy, silny, mógł wiele przetrzymać w imię życia. I wtedy przyszła ta najgorsza wiadomość. Rozpoznano Tadzia w grupie straceńców pędzonych na Płaszowskie Wzgórze. Kilku młodych mężczyzn – ze związanymi rękami i zacementowanymi ustami, niezdolnymi nawet do ostatniego krzyku. Salwa karabinowa zakończyła życie Tadzia i innych walczących o Polskę. Tadzio do końca znalazł w sobie tyle siły, by nikogo nie wydać.

Losy rodziny Tadzia Szlamki

Tragiczne były losy całej jego rodziny. Na początku okupacji umarła siostra Tadzia Janka, potem matka. Starszy brat Tadzia Franek mieszkał w Krakowie przy ul. Floriańskiej. Bardzo chciał uratować Tadzia. Z jego śmiercią zbiegła się śmierć żony Franka, która wyszła z domu, trafiła na łapankę i uciekając, wpadła pod koła niemieckiego samochodu. Niecały rok po śmierci Tadzia, jego i Franka siostra Marynia, uroczą, czarnoooka chorowała na anginę. Jej mąż, przedwojenny kapitan był administratorem jakiegoś majątku. Miewał kontakty z nieznanymi ludźmi, co upewniało ją, że pracuje w podziemnej organizacji. Wtedy właśnie przyszli do niego koledzy. Wychodząc z nimi powiedział żonie, że niedługo wróci. Niestety nie wrócił. Po kilku dniach przyszedł z majątku parobek i powiedział, że pasąc w lesie krowy zobaczył świeżo usypany kopiec ziemi. Po odkopaniu okazało się, że jest to grób jej męża, a w nim karteczka, że zginął za zdradę ojczyzny. Cios był dla niej okrutny i podwójny. Śmierć najlepszego z mężów, a równocześnie śmierć męża-zdrajcy. Brat męczennik, a mąż-zdrajca. Żona zdrajcy, żona zdrajcy – jakże boleśnie musiały ranić jej pamięć i jej godność. I minęło wiele lat, kiedy męża jej zrehabilitowano, bo okazało się, że była to jedna z wielu wojennych pomyłek.

Trzecią siostrą Tadzia była Ziuta Fiołek, także żona przedwojennego oficera, który okupację przeżył w obozie jenieckim. Po wojnie mieszkaliśmy razem. I oto nadeszła radosna wiadomość: „Żyję – wracam – tęsknię”. Ogromna radość, porządku, przygotowania i oczekiwanie. Trójka dzieci czeka na ojca. Ma

przygotowane odświętne ubranka. Po kilku dniach następną depeza z czeskiego sanatorium: „Musiałem się zatrzymać, bo trochę słabuję, przyjeźdź po mnie”. Smutna wiadomość, ale pocieszamy się, że w Bochni wszystko dojdzie do normy, odżywi się i wydobrzeje. Ziuta wyjeżdża. Wreszcie po paru dniach upragniony dzwonek do drzwi. W drzwiach stoi Ziuta, ale dla czego sama. Wyraz jej oczu był odpowiedzią. Wiemy, że stało się coś okropnego. Ziuta patrzy tępo na ukwiecony, zastawiony stół, potem zbliża się do przestraszonych dzieci i wyjmuje sakiewkę z ziemią z grobu ich ojca. Kładzie ją wśród kwiatów i mówi: „Tyle przywiozłam wam z ojca”. Już nie zastała go wśród żywych, a tak bardzo na nią czekał. Zmarł z wycieńczenia na gruźlicę. Po wielu latach Ziuta założyła jeszcze raz rodzinę. Poznała wdowca z córeczką Marysią.

Powracam wspomnieniami do Tadzia. Nasz punkt kontaktowy mógł być spalony. Ludka Dzielska została wymieniona na tłumaczkę volksdeutschkę ze Śląska. Ktoś proponował ojcu wyprowadzenie się z domu, gdyż codziennie pod domem pojawiał się nieznany osobnik podający się za wysiedlonego. Nazywaliśmy go „Spacerowiczem”. Ale Ojciec obrał inną taktykę. Zawsze kręcił się po ogrodzie, a tym samym angażował „Spacerowicza” do obserwacji. Pewnej nocy usłyszałam łomot do drzwi. Weszło dwóch drabów w skórzanych kurtkach, a niedaleko stał „Spacerowicz”. Zobaczyli, że poza domownikami nie ma nikogo, a światelko, które ich zwiabiło pochodzi od lampki oliwnej zawieszanej pod religijnym obrazem. Pod pozorem pomylenia adresów wycofali się i więcej już nie obserwowali nas.



Włodzisław Podgórzec

Włodek Podgórzec

Włodek Podgórzec nasz starszy kolega gimnazjalny był uczniem bocheńskiego liceum, a tuż przed wojną studiował medycynę. W liceum był dumą całej szkoły. Przystojny, wysportowany, zawsze zadbany i elegantski uchodził za szkolnego „arystokratę”, bo tak sztywnie umiał prowadzić gimnazjalną brać na wszystkie okolicznościowe pochody. Nie pamiętam w jakich okolicznościach został aresztowany i dostał się w hitlerowskie łapy. Torturowany, zwoził swoich prześladowców, klucząc z nimi po cmentarzu bocheńskim, gdzie szukał dla siebie ratunku. Potem poprowadził ich do kopalni i tam, przy próbie ucieczki zginął. Potem niewiele później dowiedziałam się o aresztowaniu dr Urszuli Wińskiej, naszej gimnazjalnej polonistki.

Tajemnicza szopa

I znowu za przyczyną ojca niepokój powrócił. W sąsiedztwie obórki z kozą – naszą okupacyjną żywicielką – była szopa pełna siana i tam chyba ojciec kogoś ukrywał. Nie wtajemniczył nas, wychodząc z tego założenia, że im mniej wtajemniczonych, tym lepiej dla sprawy. Cały ciężar ukrywania brał na siebie, co przekraczało jego możliwości. Ze strychu zniknął koc i części suszącej się bielizny. W dzień zamykał szopę na klucz. Sam doił kozę, a z kuchni podbierał jedzenie. Te działania wzbudziły w nas podejrzenie, że oprócz kozy ktoś jeszcze mieszka w szopie. Przypuszczałyśmy, że to jakiś chwilowy intruz. Dlatego udawałyśmy, że o niczym nie wiemy, a nawet

żonglowaliśmy tak jedzeniem, aby naszym kosztem podwając porcję dla ojca.

Aktywność Marysi Wilk vel Wolf

Nowe zmartwienie dotknęło mnie osobiście. Otrzymałam nakaz wyjazdu na roboty do Reichu. Nie ja jedna. Taki sam los spotkał delikatną Misię W., wspaniałą, zawsze pełną humoru Jasię K. Był to dowód „pamięci” naszej byłej koleżanki gimnazjalnej Marysi Wilk, która teraz z całą swoją rodziną poczuła w swoich żyłach zew nowej krwi, zamieniając polskich Wilków na groźnych niemieckich Wolfów. A że Marysia – przepraszam – już Maria – życie swe połączyła z szefem Arbeitsamtu, za jego pomocą niszczyła młodą polską inteligencję, dostarczając swej nowej ojczyźnie bocheńskich białych niewolników. W jednym tylko przypadku złe intencje Marysi okazały się korzystne dla ofiary. Koleżanka szkolna Żydóweczka Esta Austerwal, jeszcze przed utworzeniem getta, też otrzymała wezwanie na wyjazd do Reichu. I wyjechała. A, że rysów semickich trudno było się u niej dopatrzyć – uratowała życie.

Różne losy spotykały wyjeżdżających, w zależności od ludzi i sytuacji na jakie trafiali. Większość wykonywała prace służących i robotników, najcięższe, często przerastające możliwości nieprzywykłych do nadmiernego wysiłku organizmów. Wiadomo też, że równoległe do frontowych niepowodzeń wzrastała niechęć niemieckich pracodawców do polskich niewolników, często przeradzająca się we wrogość, a nawet nienawiść. Wszystko zależało od ludzi. Słyszałam o dziewczynie spod Lublina, która jeszcze do dziś utrzymuje serdeczne kontakty ze swoimi niemieckimi chlebodawcami, którzy traktowali ją wtedy, jak członka rodziny. Ale słyszałam o losie polskiego chłopca, katowanego przez syna „bauera” zacieklego hitlerowca, który wrócił z frontu wschodniego. Polski niewolnik nawet przy 20 stopniowym mrozie musiał spać w stodole, zamiast w oborze, aby przypadkiem nie spiął krowiego mleka, a krów było dwanaście. Nie wszyscy bochniacy powrócili. Z nazwisk zaginionych zapamiętałam Grucę.

Inni Niemcy

Pisząc o Wilkach (nie mylić z innymi szanowanymi rodzinami noszącymi to dość popularne nazwisko) trudno nie przeciwstawić ich tym, których same nazwiska kryły zadatki do zmiany narodowości np. Schwander, Erhardt, Gut, Hodl, Hupfler, Desk, bracia Zieglerowie i wielu innych, którzy nawet pod niemiecką presją uparcie trwali przy polskości, narażając się na wszelkie wyniki z tego konsekwencje, czego dowodem był więzień oświęcimski pan. E. Mastaj z matki Erhardt, To był też patriotyzm, który zasługuje na wzmiankę i szacunek. Przed wojną ojca łączyły dobrosąsiedzkie stosunki z mieszkającym na Wójtostwie Niemcem Lohnem. Teraz zaczął go często odwiedzać. Jaki był cel tych spotkań tego nie wiem. Ale, kiedy Niemcy w panice uciekali z Bochni Lohn pozostał. Nie miał się czego oba-

wiać. Jak wszyscy Niemcy musiał Polskę opuścić, ale robił to oficjalnie. Pozwolono mu zabrać cały jego dobytek. Odjeżdżał od przyjaciół, serdecznie żegnany, obdarowany i zapraszany w przyszłości do powrotu. Z tych zaproszeń korzystał później jego syn, który często odwiedzał Bochnię i tutejszych przyjaciół.

Przy moim stanie zdrowia, gdy najmniejsze przeziębienie powodowało długotrwałe anginy i wysoką temperaturę wyjazd na roboty do Niemiec, był dla mnie wyrokiem. Pomógł ojcu Niemiec, sąsiad Lohna. W wyniku jego starań przymusowe roboty zamieniono nam na pracę w Niemieckich Bocheńskich Warsztatach Naprawczych. Wraz z Jasią i Misią pracowaliśmy przy łataniu odzieży. Pracowali tam także Żydzi, doprowadzani codziennie z getta. Bałyśmy się, aby jakiś służbista nie zagnał nas do getta.



Waclaw Kaczmarczyk

Tajemniczy mieszkaniec szopy – Waclaw Kaczmarczyk

Powracam teraz pamięcią do mojego rodzinnego domu. Już nie interesowało mnie, czy ojciec kogoś ukrywa w szopie, ale przypadkowo odkryłam jego tajemnicę. Wszłam do szopy, a on myśląc, że to ojciec wyszedł z ukrycia i stanął przede mną. Wymizerowany, rozgorączkowany mimo panującego chłodu. Z trudem poznałam w nim najbliższego sąsiada, Waclawa Kaczmarczyka. Był chory, a w warunkach stajennych trudno było mu szybko dojść do zdrowia. Miałam już dość udręczeń i wyrzeczeń. Pomyślałam sobie, że to sprawa ojca, niech on sobie ją prowadzi. Dlatego powiedziałam: „Proszę się nie obawiać, w moim interesie leży, aby nikt się nie dowiedział o naszym spotkaniu, ojciec także”. Co to jest sumienie. Mówi się: miał czyste sumienie, albo „gryzło go sumienie”. Po kilku dniach ugryzło mnie sumienie po raz pierwszy, kiedy w przeraźliwie chłodny wieczór, wracałam do domu, usłyszałam jak zacinający deszczem wiatr



Od lewej Zbigniew Dzielski, Sławek Dzielski, Adolf Romański, Stanisław Świeżyński, Mieczysław Jonak

szarpie drzwiami szopy. Tam, za tymi nieszczelnymi deskami leży chory człowiek, pod kocym, zagrzebany w sianie. Dręczy go gorączka, a może nieugaszone pragnienie. Ja zdrowa, wejść zaraz do ciepłego mieszkania, gdzie matka poda mi ciepłą strawę. Od tej chwili nie miałam spokoju. Gdy zapytałam ojca, dlaczego ukrywa się u nas Kaczmarczyk, nie zobaczyłam zdziwienia ani na jego twarzy, ani na twarzach matki i siostry. One też wiedziały, tylko jedna przed drugą ukrywały tę wiadomość. Dowiedziałam się wtedy, że Waław Kaczmarczyk, nauczyciel i kierownik jednej ze szkół, w czasie okupacji prowadził tajne nauczanie. Była to walka o polskość naszych dzieci. Aresztowany przez Niemców i wieszony raz z grupą uwięzionych przez las, szczęśliwie wyskoczył z krytej plandeką ciężarówki i dopadł drzew. Puszczona za nim seria przestrzeliła mu nogę. Resztkami sił dowlókł się do rodzinnej Bochni i poprosił ojca o pomoc. Słowa ojca zrobiły na nas duże wrażenie. Waław Kaczmarczyk wywodził się z niezamożnej rodziny zamieszkałej w Bochni przy ulicy Brzeźnickiej 24. Matka jego obarczona piątką dzieci gospodarowała na skrawku ziemi, z jedną krową całego dobytku. Waław, starszy z synów, już w szkole podstawowej wyróżniał się pracowitością i chłonnością wiedzy. Jego nauczycielka zachęcała matkę, aby dalej syna kształciła, ale ona liczyła na oddanie go do terminu, aby jak najszybciej zdobył zatrudnienie. Zaakceptowała jednak propozycję nauczycielki, chociaż wiedziała, że nauka kosztuje. Waław o chłodzie i głodzie zdobywał wiedzę i w końcu uzyskał dyplom nauczyciela. Gorzej było ze zdobyciem jakiegokolwiek pracy. Dopiero w 1936 r. wygrał konkurs i dostał nominację na nauczyciela tymczasowego. Zaangażowanie w pracy, stała praca nad podnoszenie kwalifikacji zawodowych zwróciły uwagę kuratorium na młodego nauczyciela i w końcu dostał etat nauczyciela w szkole powszechnej i możliwość podjęcia wykładow w prywatnej szkole zawodowej. Pracował w Szczekocinach, ale z Bochnią i domem rodzinnym utrzymywał stały kontakt. Opłacał naukę swojej siostry Heleny w seminarium nauczycielskim, i pomagał finansowo matce.

Teraz ranny ukrywał się w naszej szopie. Zabraliśmy go do domu, daliśmy z trudem zdobyte lekarstwa. Podjęliśmy dodatkowe środki ostrożności. Dom był położony w ogrodzie, dalej od ulicy. Pies Reksio czuwał. W składziku na węgiel zrobiliśmy maskującą ściankę, za którą ukrywający mógł się schować w każdej chwili. Wyjście awaryjne prowadziło przez ogród, łączący się z sąsiednimi ogrodami. Na szczęście nikt nie szukał zbiega. W tych warunkach Waław szybko wrócił do zdrowia i do swoich. Włączył się aktywnie w tajne nauczanie. Często do nas powracał, bo – jak mówił – tutaj odnajdywał siebie. Łączyła nas szcera przyjaźń. Był rok 1944. Od jego aresztowania w Szczekocinach i ucieczki minęło wiele miesięcy. W przekonaniu, że Niemcy zapomnieli o nim i przygotowywali się do odwrotu, włączył się w przygotowywanie tajnych kompletów tajnego nauczania w Bochni. Nadszedł ten dzień, kiedy Niemcy zaczęli walić do drzwi jego domu. Uciekł na strych, stamtąd zeskoczył na ulicę. Nie wszyscy jednak Niemcy weszli do mieszkania. Ten który pozostał na ulicy puścił serię za uciekającym. Waław Kaczmarczyk zginął na miejscu. Nieutulona boleść podsuwała nam różne okrutne podejrzenia, kto go wydał, ale nie mając dowodów nie powinnam o poszlakach mówić.

Pamięć o Waławie nie rozplynęła się w czasie. Z jego imieniem związała się Szkoła Podstawowa w Szczekocinach. Umieszczona na budynku szkoły pamiątkowa tablica zapoznaje młodzież z życiem i śmiercią ich bohaterskiego patrona, długoletniego nauczyciela i kierownika tej szkoły, który za krzewienie oświaty i polskości, w niebezpiecznych czasach okupacyjnych, zapłacił życiem.

Od tych czasów minęło wiele lat. Czas wszystko zacierza, pomniejsza i oddala. O ile jednak stać nas na to, aby z tych tragicznych doświadczeń wyciągnąć wnioski na przyszłość, to przypominajmy, spisujemy, krzyczymy o tragedii tamtych lat, aby ta krwawa lekcja historii nie powtórzyła się więcej.

Ludmiła Dzielska ur.21 kwietnia 1912 w Bochni, córka bocheńskiego komornika Mieczysława Dzielskiego, absolwentka Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni (matura 1931 r.) i Wydziału Germanistyki UJ, mieszkała w Bochni przy ul. Białej 19, w czasie wojny pracowała jako tłumaczka w biurze bocheńskiej Landlatury, pracowała dla ZWZ-AK, zmarła w 1954 r. siostra Danuty Świeżyńskiej (1921-1990)

Adolf Romański zm.06.01.1959 mieszkał w Bochni przy ul. Brzeźnickiej 30, w czasie wojny ukrywał w swoim domu Waława Kaczmarczyka, ojciec Janiny Zółkiewskiej autorki wspomnień i młodszej Danuty Jonakowej, późniejszej żony Mieczysława Jonaka ordynatora oddz. ginekologicznego w Szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej

Tadeusz Szlamka mieszkał w Bochni przy ul. Gołębiej, absolwent Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego, (rozstrzelany 11.12.1943), Krzysztof Kwaśniewski w książce „Smutek anegdot”. Etniczne dygresje do wspomnień i pomysły refleksji. Poznań 2010 s.235 mieszkający w czasie okupacji przy ul. Gołębiej wspomina: nieraz widywałem naszego sąsiada z naprzeciwka, młodego człowieka, w modnych wtedy „oficerkach” mieszkającego samotnie, a pracującego w jakimś magistrackim urzędzie. Nazywał się chyba Szlamka. Czasem spacerował wieczorami po naszej uliczce ze swoją dziewczyną. Aż pewnego dnia rano zobaczyliśmy w oknie jego pokoju dziurę po wybitej szybie. I już wszyscy wiedzieli, że „oni” przyszli po niego nocą, wtargnęli do mieszkania i po chwili wyprowadzili go zbitego do samochodu. Nikt nawet nie wiedział, za co i dlaczego – nigdy też o nim więcej nie słyszałem ani go nie widziałem – dłuższy czas widywało się tylko jeszcze tę jego dziewczynę, zawsze samotną. I tyle”. Zdaniem autorki wspomnień rozstrzelany został w listopadzie 1942 r. wg. Materiałów Jana Kaczmarczyka ps.”Wik” znajdujących się w zbiorach Stowarzyszenia – 11.12.1943 r.

Ppor rez. Waław Kaczmarczyk ps.”Cioch” ur. 20.09.1910 r. kierownik szkoły w Szczekocinach, organizator tajnego nauczania w Szczekocinach i Bochni. Zastrzelony 28.02.1944 r. przez Niemców przy próbie ucieczki z własnego domu z czerwonej cegły przy ul. Brzeźnickiej 32, ostatni dom przed wiaduktem po prawem stronie. Po wojnie na budynku szkoły w Szczekocinach im. T. Kościuszki wmurowana została tablica poświęcona jego pamięci.

Ulica Więźniów Oświęcimia?

W ostatnim czasie dużego rozgłosu nabral wniosek jednego z mieszkańców Bochni domagający się zmiany „niefortunnej” jego zdaniem nazwy ulicy Więźniów Oświęcimia na ulicę imienia Gabriela Lauba, wybitnego satyryka i aforysty pochodzenia żydowskiego, pochodzącego z Bochni.

W obszernym uzasadnieniu dowiedzieliśmy się, że nazwa ulicy Więźniów Oświęcimia nie jest „fortunna”, ponieważ odnosi się do miejscowości Oświęcim, a nie do obozu koncentracyjnego, który w granicach tego miasta został zbudowany. Ponadto nazwa ta sprzyjać może obiegowym, fałszywym pojęciom o rzekomych „polskich obozach koncentracyjnych, poprzez pominięcie niemieckich nazw i niemieckiego rodowodu tych strasznych fabryk śmierci.

Z całą pewnością niefortunny był los ludzi, którzy w tym obozie się znaleźli, ale w nazwie ulicy trudno doszukać się jakiejś niepoprawności językowej. Doceniając więc intencje PT Autora 4 marca b.r. sprzeciwiliśmy się likwidacji obecnej nazwy. W latach 60-tych lub 70-tych, kiedy nazwa ta została nadana przez ówczesne władze Bochni, prawdopodobnie na wniosek tych Bochnian, którzy przeżyli piekło tego i innych obozów zagłady i obozów koncentracyjnych używano powszechnie nazwy „Obóz koncentracyjny w Oświęcimiu-Brzezince”, a w skrócie „obóz oświęcimski”.

Nazwa ta była synonimem zbrodni hitlerowskich pełniących na bezbronnej ludności osadzonej w tym obozie narodowości żydowskiej, romskiej, polskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, greckiej, francuskiej i wielu innych. Obóz oświęcimski zbudowany został częściowo na terenie miasta Oświęcimia i rozbudowany na terenach wsi Brzezinki, Monowice, Rajsko. Z czasem przekształcił się w olbrzymi kombinat śmierci obejmujący kilkadziesiąt miejscowości. Nazwa Auschwitz jest niemieckim odpowiednikiem nazwy miasta Oświęcim (nazwa Auschwitz istniała na XIX wiecznych austriackich mapach), na którego terenie Niemcy zorganizowali pierwszy na okupowanych ziemiach polskich obóz koncentracyjny wiosną 1940 r., podobnie jak Birkenau jest niemieckim odpowiednikiem miejscowości Brzezinki, Monowitz – odpowiednikiem miejscowości Monowice etc.

Niemcy urządzili ponad 12000 obozów koncentracyjnych. Na terenie Rzeszy powstały obozy m.in. w dzielnicy Weimaru Buchenwaldzie, w Ravensbruck dzielnicy miasteczka Fürstenburg, w pobliżu miasta Bergen-Belsen, w Sachsenhausen dzielnicy Oranienburga, która od 1974 r. jest miastem (w Niemczech jest 6 miejscowości o tej nazwie). W Górnej Austrii od kilkuset lat istnieje miasto Mauthausen, a w Bawarii zamek Lichtenburg, gdzie także funkcjonowały niemieckie obozy koncentracyjne. Powszechnie używa się nazw tych dzielnic i miasteczek do oznaczania obozów, które kiedyś na ich obszarze administracyjnym funkcjonowały i nikt nie podnosi się z tego tytułu larum.

Z czasem nazwa obozu oświęcimskiego (Auschwitz) stała się symbolem męczeństwa we wszystkich obozach koncentracyjnych, czego dowodem jest wprowadzony ustawą z 14 marca 1985 r. Krzyż Oświęcimski – wyraz hołdu

dla osób więzionych w różnych obozach koncentracyjnych za udział w walce o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej.

Analogicznie też za ofiary zbrodni katyńskiej uważamy dzisiaj oficerów polskich, którzy rozstrzelani zostali z rozkazu Stalina, nie tylko w lesie katyńskim, ale także w Charkowie, Miednoje, Bykowni i innych miejscach nieludzkiej ziemi.

Nazwa Oświęcim i przymiotnik oświęcimski powiązana była w sposób oczywisty zarówno z hitlerowskim obozem jak i z miastem i powiatem oświęcimskim, ale nikt nie miał wątpliwości w rozróżnieniu obu odmiennych znaczeń. Toczące się po wojnie procesy oświęcimskie w Warszawie (1946), Krakowie (1947), Frankfurt nad Menem (1963) i innych miastach w Polsce i zagranicą dotyczyły byłych funkcjonariuszy obozu koncentracyjnego, a za „więźniów oświęcimskich” uważano więźniów tego hitlerowskiego obozu, a nie więźniów miasta Oświęcim.

Truizmem byłyby dzisiaj próby wyjaśniania czego rzeczywiście dotyczy literatura obozowa, a wśród niej takie tytuły jak: Wincentego Gawrona „Ochotnik do Oświęcimia” (wyd.1992), „Oświęcim w oczach SS” (wyd.1972), Józefa Garlińskiego „Oświęcim walczący” (wyd.1992), „Oświęcim nieznan” (wyd.1981), wielotomowe, niezwykle wartościowe wydawnictwa ciągle „Zeszyty oświęcimskie” czy „Przegląd Oświęcimski”. To samo dotyczy wyjaśniania istoty „kłamstwa oświęcimskiego” które na podstawie art. 55 ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu jest przestępstwem ściganym z urzędu, zagrożonym grzywną lub karą pozbawienia wolności do lat 3, a wyrok podawany jest do publicznej wiadomości.

Gdybyśmy w podobny sposób oceniali nazwę ulicy Ofiar Hiroshimy, to moglibyśmy widzieć w niej drastyczne, a nawet szokujące zaprzeczenie faktom historycznym, ale nikt takich konkluzji nie wyciąga, ani też nie zastanawia się czy ulica Obrońców Warszawy, ma dotyczyć tylko granic administracyjnych naszej stolicy czy walki z najeżdżącą w 1939 lub 1944 r.

Takie skróty myślowe nikogo – nawet purystów językowych - nie rażą, bo mamy do czynienia z wnioskowaniem entymematycznym czyli dedukcyjnym, w którym pomija (przemilcza) się którąś z przesłanek ze względu na jej oczywistość i związaną z tym oszczędność środków. Entymematy (skrócone sylogizmy) mają zaletę zwięzłości i dużą siłę perswazyjną. W nazewnictwie ulic takie skróty myślowe są konieczne. Przy nazwach ulic nie dodaje się przecież słów: „w hołdzie”, albo „ku czci” Kazimierza Wielkiego czy Tadeusza Kościuszki.

Informujemy, że PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKANAU w Oświęcimiu znajduje się przy ulicy Więźniów Oświęcimia nr 20 i nikt nie zabiega o zmianę nazwy tej ulicy.

Nie możemy także zapominać, że w latach okupacji hitlerowskiej w Polsce duża liczba mieszkańców Bochni i powiatu bocheńskiego znalazła się w tym straszliwym,

hitlerowskim kombinacie śmierci. Wielu tam zginęło, wielu przewożonych było do innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych na terenie okupowanej Polski i III Rzeszy, a niektórzy przeżyli. Z tej niezidentyfikowanej liczby uwięzionych, udało się sporządzić imienną listę 129 mieszkańców Bochni i powiatu bocheńskiego, głównie pochodzenia polskiego, z podaniem w miarę szczegółowych danych osobowych, numerów i losów obozowych, którą Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej przekazało w 2005 r. do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Te fakty zdecydowanie przemawiają

przeciwko likwidacji obecnej nazwy tej ulicy. Gabriel Laub, polsko-czeski dziennikarz, satyryk i aforysta pochodzenia żydowskiego urodzony w Bochni 24 października 1928 r. a zmarły w Hamburgu 3 lutego 1998 r. powinien być patronem jednej z nowych bocheńskich ulic.

P.S. Rada Miejska w Bochni na plenarnej marcowej sesji odrzuciła wniosek o zlikwidowanie nazwy ulicy Więźniów Oświęcimia.

**Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej**

Zarząd Województwa Śląskiego
Śląski Urząd Wojewódzki w Katowicach
ul. Jagiellońska 25
40-032 Katowice

List otwarty w obronie Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu

Zdecydowanie protestujemy przeciwko jakiegokolwiek formie **likwidacji Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu**, łączącej się z utratą jego historycznej tożsamości.

Muzeum z ponad 100-letnią tradycją, o wielokulturowych korzeniach, jako instytucja trwale wpisująca się w europejskie dziedzictwo regionu, nie powinno stać się obiektem manipulacji podyktowanej krótkowzrocznymi trendami politycznymi. Usunięcie Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu z muzealnej mapy Polski stanowić będzie niewątpliwie przekreślenie dorobku kulturalnego wielu pokoleń Ślązaków, a przede wszystkim niepowetowaną stratę dla dziedzictwa narodowego i ponadnarodowego.

Muzeum Górnośląskie w Bytomiu na trwale wpisało się w przestrzeń kulturową i ugruntowało swą wiodącą pozycję jako inicjator i aktywny uczestnik wielu znaczących przedsięwzięć muzealnych w skali kraju w czasach znacznie trudniejszych i niesprzyjających szeroko pojętej działalności muzealnej. Trudno sobie zatem wyobrazić, że wraz ze stale postępującą demokratyzacją życia publicznego mogą być podważane fundamentalne podstawy dziedzictwa cywilizacyjnego. Polityka ta sprzeczna jest z pielęgnowanym w Europie regionów przywiązaniem do tradycji, kultury i tożsamości narodowej.

Muzeum Górnośląskie w Bytomiu jest depozytariuszem dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego mikro- i makroregionu, Polski, Europy i świata.

Spółczesność obywatelska naszego kraju pokłada nadzieję, że będące w jego służbie samorządy regionalne będą realizować optymalne programy zabezpieczenia, badania i upowszechniania dziedzictwa narodowego. Warunkiem jest opracowanie takich programów poprzez regularne konsultacje z podmiotami kompetentnymi, czyli skupiającymi ludzi zawołowo związanymi z nauką i kulturą w danym regionie. Jest to jedyny sposób na rozsądną politykę wspierającą rozwój, jak i właściwe wydawanie pieniędzy regionalnych, państwowych i unijnych.

Do wiadomości:
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dyrektor Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu

Pracownicy
Muzeum Górnośląskiego
w Butomiu

Stanisław Kobiela

Gawrony bocheńskie nasi skrzydlaci przyjaciele



Od niepamiętnych czasów towarzyszą mieszkańcom Bochni na salinarnych plantach. Spełniają pozytywną rolę ponieważ nie niszczą plant, ale je sprzątają. Żerując na ziemi i trawnikach chodzą i skaczą zjadają odpadki i wyławiają pędraki, normiki zwyczajne, a nie gardzą też padliną. Spośród krukowatych są jednak najbardziej wegetariań-

skimi ptakami. Mylone często z kawkami, które gnieźdzą się w dziuplach, krukami lub wronami. Gawrony są jednak od wron smuklejsze. Są ptakami stadnymi. Łączą się w pary na całe ich kilkudziesięcioletnie życie. W czasie zalotów śpiewają, kłaniają swoim wybrankom, a kiedy pary się dobiórą lubią przytulać się do siebie. Mają dar zacieśniania więzi rodzinnych i społecznych. Znają się osobiście i nawet w dużym stadzie potrafią bez trudu rozpoznać członków swojej rodziny. Na bocheńskich plantach gnieździ się kilkadziesiąt par gawronów. Odnoszą się wybitą inteligencją i potrafią wykonać różne narzędzia do zdobywania pożywienia, posługiwać się nimi i ustalać nawet kolejność ich użycia lepiej niż szympanse. Posiadają zmysł twórczego podchodzenia do rozmaitych problemów i błyskawicznego oceniania sytuacji. Upierzenie na całym ciele mają czarne z fioletowym, metalicznym połyskiem i czarne nogi. W słońcu gawrony mienią się metalicznie i fioletowo, zaś wrona siwa ma czarną głowę, skrzydła, ogon i krawat a resztę ciała siwą. Oglądają świat bardziej kolorowo niż ludzie, ponieważ widzą fale ultrafioletowe. W słonecznym słońcu są piękne. Pióra ich mienia się barwami tęczy.

Jest to ptak bardzo towarzyski w każdej porze roku, ale ostrożny. Gdy są dokarmiane przez człowieka stają się zupełnie niepłochliwe. Ich lot powolny, ale wytrwały. W wielotyśięcnych stadach mieszanych znajdują się również kawki.

W przeddzień 761 letniej rocznicy założenia Bochni 26 lutego 2014 r. władze samorządowe miasta Bochni na wniosek kilku radnych zaatakowały krainę gawronów znajdującą się na bocheńskich plantach, pod zawodnym hasłem dbania o czystość plant. Chociaż jeden z radnych proponował puścić na gawrony sokoła i wytluc je do końca, to jednak ostatecznie skierowano atak na ich domy- gniazda. Gdyby nie dramatyzm sytuacji i przerażenie ptaków krążących niespokojnie nad drzewami, cała ta wojenna ekspedycja miałaby przebieg heroikomiczny. Jeden pan na podnośniku, stojąc na drabinie długą tyką strącał gniazda, a drugi trzymał go za nogawki. Strącono wszystkie 10 gniazd ptasich, które były na plantach, zarówno te, które znajdowały się nad alejkami spacerowymi, jak również te, które znajdowały się na drzewach rosnących nad trawnikami. Po kilku niespokojnych okrążeniach odleciały i wyniosły się z plant na Osiedle Niepodległości. Po wykonaniu zadania ekipa zrzucająca gniazda, zadowolona z odniesionego zwycięstwa odjechała, aby zainkasować kwotę przeznaczoną (a właściwie wyrzuconą) na ten cel przez bocheński samorząd. Warto byłoby poznać, ile ten agresywny zabieg kosztował i jak długo te syzyfowe pra-

ce bocheński samorząd będzie powtarzał, bo w ubiegłym roku 2013 r. podobny atak nie przyniósł spodziewanych efektów.

Po trzech dniach gawrony powróciły i już w pierwszych dniach marca odbudowały swoje gniazda tym razem w liczbie 50-ciu i do nich się wprowadziły. Ptakom nic obecnie zrobić nie można. W sportowym języku można powiedzieć, że gawrony wygrały z radnymi 50 : 10. Nikt nie pomyślał o wykonaniu późną jesienią lub na początku roku w najbardziej zagrożonych miejscach, a faktycznie jest to tylko jedno drzewo delikatnej przecinki koron nad tą właśnie alejką, aby rosnące tam gałązki nie były już atrakcyjne dla gawronów. Nikt nie pomyślał, że można ustawić ławki dla spacerowiczów, nie pod koronami drzew z gniazdami, ale w innych miejscach. Nikt także nie zorientował się, że problem zanieczyszczania odchodami, praktycznie tylko jednej alejki występuje tylko przez dwa miesiące w roku, gdyż rozwijające się liście, a także wzmocnione i szczelne stare gniazda są wystarczającą barierą przed spadaniem odchodów ptasich na ziemię. Bezmyślne zrzucanie gawronich gniazd jest działaniem niecelowym, niegospodarnym i sprzecznym z zasadami ochrony środowiska. O wiele lepiej zabezpieczają przed spadaniem odchodów gniazda stare, wzmocnione, dobrze wymoszczone sianem lub mchem niż gniazda odbudowane, z których niejednokrotnie spadają na ziemię nie najlepiej jeszcze umocowane gałązki.

Wniosek bocheńskiego samorządu z 31 stycznia 2014 r. o zezwolenie na usuwanie gniazd ptasich gatunku gawron od 1 marca do 31 grudnia 2014 r. skierowany do Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Krakowie został załatwiony odmownie decyzją z dnia 7 marca 2014 r. Nota bene nie obejmował on wybryku z 26 lutego 2014 r. Dyrektor nie zezwolił na usuwanie gniazd gawrona (*Corvus frugilegus*), ani na zamontowanie sieci ochronnej na koronie jednego drzewa w celu uniemożliwienia zakładania gniazd lęgowych gawronów na terenie Plant Salinarnych w Bochni. W obszernym uzasadnieniu podał, że kolonia gawronów nie powoduje nadmiernej uciążliwości dla przebywających na plantach ludzi, gdyż ławki, plac zabaw, pomnik i parking zlokalizowane są poza zasięgiem koron drzew, na których są gniazda. Tylko jedna ławka została nieprawidłowo ustawiona i powinna być przesunięta w inne miejsce. Brudzenie odchodami alejki odbywa się praktycznie tylko przez dwa miesiące, gdyż zwarte i pełne ulistnienie kasztanowców pojawia się już w maju i problem zabrudzeń ciągów pieszych znika. Gałązki stanowiące budulec gniazd mogą spadać tylko wtedy, gdy gawrony odbudują gniazda, a nie w przypadku gniazd starych i zasiedlonych.

Gawron jest gatunkiem synantropijnym, związanym stale z działalnością człowieka i wszelkie próby trwałego usunięcia gawronów z danego zadrzewienia nigdy nie odniosą pożądanego skutku. Płoszenie gawronów jest karane i prowadzi do regresu krajowej populacji lęgowej. W ciągu 10 lat **krajowa populacja gatunku zmniejszyła się o połowę**, a trend spadkowy populacji gawrona w Polsce jest na tyle znaczny, że zgodnie z kryteriami IUCN (*International Union for Conservation of Nature*) gatunek ten kwalifikuje się do grona gatunków zagrożonych. Potrzeba odbudowania zniszczonych gniazd powoduje zwiększony wydatek energetyczny w okresie rozrodczym, co bardzo negatywnie wpływa na rozwój populacji. Ponadto stare obszerne gniazda gawrona zasiedlić mogą inne gatunki ptaków np. pustułka (*Falco tinnunculus*) i sowa uszatka (*Asio otus*), gatunki pełniące bardzo pozytywną rolę poprzez polowanie na gryzonie, a na Plantach Salinarnych były lęgi trzech par uszatki w starych gniazdach gawrona. Reasumując możemy stwierdzić, że zrzucanie gniazd gawronich

jest niewybaczalnym błędem a Dyrekcja Ochrony Środowiska w Krakowie stoi na stanowisku, że usuwanie gniazd i płoszenie ptaków w okresie lęgowym a także w okresie od 16 października do końca lutego jest niedopuszczalne i nie będzie wydawać zezwoleń w takich przypadkach.

Z decyzji RDOŚ w Krakowie dowiadujemy się, że zakładanie sieci na korony drzew jest barbarzyńskim pomysłem, bowiem *sieć taka może stać się śmiertelną pułapką dla ptaków (nie tylko gawronów), które mogą zostać w niej uwięzione, chociażby przez zaplątanie skoków lub skrzydeł.*

RDOŚ stwierdza na zakończenie, że gatunki dzikich zwierząt w obszarach miejskich poddawane są wzrastającej antropopresji, a przecież miasto jest ekosystemem będącym układem ekologicznym składającym się z zespołu różnych gatunków organizmów współwystępujących ze sobą. Potrzeba zachowania tych gatunków wymaga kształtowania środowiska miejskiego w taki sposób, aby było ono również przyjazne dla zwierząt mieszkających w mieście.

RDOŚ w Krakowie w czasie przeprowadzonej w dniu 5 marca 2014 r. wizji terenowej stwierdził także, że na bocheńskich Plantach Salinarnych mieszka kilka par kawek w obszernych dziuplach drzew. Nie są one w żaden sposób uciążliwe ze względu na sposób gniazdowania. Spełniają natomiast pożyteczną rolę sanitarną podobnie jak gawrony, bowiem wyjadają odpadki na wysypiskach, zielenicach czy chodnikach. Barbarzyństwem nazwać należy – stwierdzone na Plantach Salinarnych – przypadki zamykania otworów dziupli siatką - stwierdza dyrektor RDOŚ.

Domagamy się, aby Burmistrz Miasta Bochni zawiadomił Prokuraturę Rejonową w Bochni o prawdopodobieństwie popełnienia przestępstwa, a jednocześnie zlecił przeprowadzenie stosownej wizji lokalnej na Plantach Salinarnych. Pomocna w tym będzie ustawa z 16 kwietnia 2004 r. o ochronie przyrody i rozpo-



ządzenie Ministra Środowiska z 12 października 2011 r. w sprawie ochrony gatunkowej zwierząt.

Bochnia zastanawia się nad różnymi formami promocji naszego miasta i Plant Salinarnych. Dobrym pomysłem byłaby fontanna w miejsce tragicznie wyglądającego wesołego miasteczka tuż za pomnikiem Czynu Legionowego. Niezwykle piękną atrakcją byłoby wprowadzenie na plantach innych jeszcze gatunków ptaków jak np. pliszki, kowaliki, szpaki, sikorki i oczywiście puszczyki. Pomogły by w tym skrzynki dla ptaków powieszona na wielu drzewach, a tablice edukacyjne mogłyby informować jakie ptaki mieszkają na Plantach Salinarnych.

Tekst ten dedykujemy przede wszystkim bocheńskim radnym i prosimy, aby niektórzy z nich nie prześcigali się w pomysłach jak wytepić gawrony i inne ptaki, a inni radni potrafili się takim pomysłem zdecydowanie przeciwstawić i nazwać tak jak na to zasługują.

Serdecznie dziękuję prof. dr hab Janowi Pinowskiemu za cenne uwagi i uzupełnienia do artykułu

Stanisław Kobiela

Stanisław Mróz

Wyprawa w Stare Góry nową trasą ekstremalną

Z początkiem maja b.r. ruszyła w najstarszej części bocheńskiej kopalni soli nowa ekstremalna trasa turystyczna przeznaczona tylko dla osób pełnoletnich i grup młodzieży szkolnej powyżej 16 roku życia pod opieką osoby dorosłej. Od uczestników wymagana jest dobra kondycja fizyczna. Wyprawa rozpoczyna się zjazdem szczybem Sutoris na I poziom Danielowiec (70m głębokości) i prowadzi przez rejon, w którym eksploatacja soli rozpoczęła się początkowych dziesięcioleciach istnienia kopalni. Po drodze mijamy stare fragmenty szybu Gazaris, Floris, aż pod Krzęczków i Dębczę z dala od dróg ewakuacyjnych. Dlatego każdy turysta ubrany w górniczy kombinezon musi mieć obok lampki górniczej, kask i pochłaniacz, a także standardowe środki opatrunkowe na wypadek nabicia sobie guza, ale kaski chronią turystów skutecznie.

Następnie Zejściem Kalwaria uczestnicy pokonują ciąg wyrobisk (komory Stanetti I, II, III, IV, V) o łącznej długości 650 m i różnicy wysokości wynoszącej 110 m do poziomu IV August (176 m. głębokości). W wielu miejscach trzeba iść w pochylonej pozycji, gęsiego, schodzić stromymi wykutymi w solnej skale wąskimi schodami i drabinami porośniętymi polepą solną w ciemną czelusć (Zejście Kalwaria, Szybk Gazaris II), rozświetloną tylko

lampkami, które każdy turysta ma na swoim wyposażeniu. Wąskie pochylnie sąsiadują z suwaczkami a jedyne ułatwienie stanowią drewniane stopnie tzw. trepy.

Zejściem Lichtenfels uczestnicy dotrą do poziomu VI Sienkiewicz (223m głębokości) pokonując tzw. końską drogę. Tam można zobaczyć tzw. tufy czyli sprasowane w solnej ścianie popioły wulkaniczne mające ponad 13 milionów lat.

W ciągu 3 godzinnej wyprawy pokonać trzeba różnicę głębokości 153 metrów, ale trasa jest tak piękna, zachwycająca surowością, że zapiera dech w piersiach. Prowadzi bowiem wśród solnych kalafiorów, stalaktytów i tzw. włosów św. Kingi. Uczestnicy mogą podziwiać piękno surowych formacji skalnych obrazujących budowę geologiczną bocheńskiego złoża. Udostępnione wyrobiska, to miejsce pracy górników od czasów średniowiecza do początków XX w. Zwiedzający mogą doświadczyć warunków, w jakich powstawał skarb światowego dziedzictwa UNESCO. Należy przypomnieć bowiem, że bocheńska kopalnia soli znalazła się na tej liście 23.06.2013 r.

Zwiedzanie tej trasy może się odbywać w 5. osobowych grupach po telefonicznym uzgodnieniu terminu. Zob. zdjęcia na str. 48.

Joanna Maria Noworolska

O Bochni i medycynie

opowiada prof. dr hab. med. nefrolog Olgierd Smoleński

Motto z wierszy autorstwa Profesora z lat młodości w Bochni :

Miasteczko

*Domki pod kloszem ciszy
z opuszczonymi powiekami pasyastych stor.
Słońce nabite na szpilkę kościelnej wieży
i czarny przecinek czasu...*

Ucieczka

*Nurkuję w ciszę miasteczka
w zaspane świty, w leniwe zmierzchy.*

*Z głową w obłokach, z bosymi stopami, w błocie,
słucham serenady psów do rogatego rogala.*

*Kradnę drzemiącym wierzbom czar srebrnej rzeki
i uciekam do kamiennego miasta ...*

W sali klubowej Miejskiej Biblioteki w Bochni 3 grudnia spotkaliśmy się na wieczorze wspomnień o nieco dziwnym tytule: „O medycynie i Bochni” ze znanym nefrologiem profesorem Olgierdem Smoleńskim.

Zgromadzili się Jego koledzy i przyjaciele ze szkoły im. Kazimierza Brodzińskiego i Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego, lekarze, pacjenci i sąsiedzi z ul. Bernardyńskiej, gdzie mieszkał wraz ze swoją Matką i cicią prof. Leokadią Rodziewiczową po repatriacji z rodzinnego nadal kochanego Wilna.

Wspomnienia przeniosły nas w przeszłość. Profesor wczesne dzieciństwo spędził w Wilnie. Mieszkał w sąsiedztwie Ostrej Bramy wraz z Ojcem, oficerem-legionistą i matką śpiewaczką operową, która zdążyła tylko raz wystąpić na scenie, bo przyszła wojna w 1939 roku. Ojciec walczył w Armii Kraków i po bitwie pod Wysoką dostał się do niewoli niemieckiej i był jeńcem oflagu VII A w Murnau. Matka, aby utrzymać syna, podejmowała się różnych zawodów - była nawet tynkarzem. Po trudnej decyzji opuszczenia Wilna i po miesięcznej wędrówce po Polsce na odkrytej lorze kolejowej (tak jak wędrował bohater „Przedwiośnia”) dotarli wreszcie do Bochni, „ściągnięci” tu przez znajomego, prof. Biernackiego, który pracował w liceum bocheńskim.

Zamieszkali w suterenie przy ul. Bernardyńskiej 19. Był to bardzo trudny czas. Los Ojca nadal był nieznanym, Matka została w końcu pracownikiem PSS w Bochni. Nie łatwo też żyło się Oldzikowi, jak go wszyscy nazywali. Najcięższe były pierwsze miesiące pobytu w nowym miejscu, mówił przecież wschodnim, „ruskim” akcentem, a dzieci nie lubią „innych”. Na szczęście spotkał na swojej drodze mądrych i przyjaznych ludzi, a to rodziny państwa Chełmeckich i Wingertów, którzy pomogli mu w adaptacji, a jak trzeba było to też i materialnie. Stąd młodości przyjaźnie z Andrzejem i Wackiem Chełmeckimi oraz Kazikiem Wingertem, które przetrwały do dziś. Razem chodzili do szkoły Brodzińskiego, razem jeździli nad



Rabę „pod most”, razem ślizgali się na nartach, „na kolejce”, czy bawili w Indian na Uzborni, bo wtedy ulubionym autorem był Karol May.

Po paru latach, niespodziewanie, odnalazł się Ojciec – Olgierd senior, który po wyjściu z niewoli niemieckiej został pracownikiem Polskiej Misji Wojskowej w Niemczech i oficerem łącznikowym przy gen. Eisenhowerze, a następnie prowadził misję odzyskiwania polskich dzieci, które zostały przejęte na wychowanie przez rodziny niemieckie. Wielką radością było go na stacji kolejowej w wagonie towarowym, w mundurze amerykańskim z naszywką Poland na ramionach. Oldzika rozpięła dumą, kiedy z radością paradował z Ojcem po ulicach Bochni.

Osobowość młodego Olgierda ukształtowało Gimnazjum i Biblioteka publiczna. W gimnazjum uczyli mądrzy, zapaleni, a często bardzo oryginalni Profesorowie: Gębica, Kotowa, Kaczmarczykowa, Kuklanka, Machnicka i Słomka. Zainteresowanie do literatury rozbudziła prof. Sierpińska, która była zafascynowana literaturą starożytną i mitologią. Starła się (zresztą ze znakomitymi rezultatami) zainteresować tym swoich wychowanków, zapraszając ich do domu na słynne „czytane” herbatki. Wśród jej wychowanków był też znany później pisarz Ireneusz Ireduński, którego prof. Sierpińska bohatercko broniła przed profesorami fizyki i chemii, gdyż pisał bardzo ciekawe wypracowania „na wolne” tematy. Wśród Profesorów gimnazjum była też jego ciocia, prof. Leokadia Rodziewicz. Złośliwość losu sprawiła, że ona - sanitariuszka z armii generała Żeligowskiego w czasie jego marszu na Wilno, nauczająca języka rosyjskiego. Nazywano ją powszechnie „ciotką” albo „ciocią”. Znajomość języka rosyjskiego przydała się Profesorowi Smoleńskiemu niespodziewanie w czasie pobytu na stypendium w Stanach Zjednoczonych, bowiem pozwoliła mu pośredniczyć pomiędzy grupą lekarzy amerykańskich i rosyjskich w Cleveland.

Biblioteka Powiatowa w Bochni swoją ciekawą działalnością wykraczała poza normalne ramy pracy takiej placówki. Organizowała spotkania z autorami, wśród których częstym gościem był Jan Wiktor. Uruchomiła bibliobus czyli objazdową w samochodzie bibliotekę, docierającą do najmniejszych



wiosek. Kreatorem tych działań była pani Maria Bielawska. To ona zgromadziła wokół siebie grupę młodych piszących, którzy spotykali się i prezentowali swoje utwory. Dyskutowali zresztą nie tylko na tematy literackie, bo był to przecież 1956 rok. Niebagatelna w tej działalności była rola Stanisława Gawora. W jego głowie zaświtała też myśl, aby wydać utwory młodych twórców. On też przejął na siebie całą trudną pracę redakcyjną. Owocem tych starań był „Almanach Bocheński”, który zamieścił utwory Bogdana Loebła, Ireneusza Iredeńskiego, Olgierda Smoleńskiego, Wandy Łopatkówny, Mariana Flasińskiego, Marka Bierkowskiego i Zbigniewa Gniecha. Okładkę zaprojektował znany malarz bocheński Walerian Kasprzyk. Wydano go w nakładzie tysiąca egzemplarzy. Tomik spotkał się z dobrym przyjęciem nie tylko Bochniaków, ale też nawet krytyki literackiej.

Od czasu przeczytania książki „Łowcy mikroobów” - Ołdzik, a teraz już Olgierd zaczął w skrytości marzyć o zawodzie lekarza. Po zdaniu egzaminu (11-tu kandydatów na jedno miejsce) dostał się na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Krakowie. Rozpoczęły się trudne, żmudne studia. Nauka szła dość łatwo, egzaminy zdawane były bez poślizgów z dobrymi ocenami co zaowocowało faktem, że na czwartym roku studiów zaproponowano mu stanowisko pomocnika asystenta w katedrze Anatomii Patologicznej. Z tego okresu pojawia się pierwsza nagrodzona praca naukowa, dotycząca występowania nowotworów w populacji krakowskiej w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia. Łatwość nauki pozwoliła mu zanurzyć się w bogate życie studenckie - rajdy, spotkania, wyjazdy za granicę.

W Zrzeszeniu Studentów Polskich zostaje przewodniczącym Rady Uczelnianej. W tych latach bardzo rozkwitała kultura studencka. Powstają studenckie kabarety, teatryki i zespoły jazzowe. Medycy w Krakowie nie mogli być gorsi i zakładają znany w tym czasie kabaret „Cyrułik”. Olgierd jest jednym z jego współzałożycieli. Odżywają ciągoty literackie, pisze teksty, piosenki. Na tej scenie „Cyrułika” debiutowała Ewa Demarczyk, tu też narodziła się znana i lubiana piosenka „Konik na biegunach”.

Dyplom lekarza i propozycja asystentury w II Klinice Chorób Wewnętrznych powoduje, że wybiera nową rodzącą się dopiero specjalność medyczną - nefrologię, a szczególnie dializoterapię czyli leczenie schyłkowej niewydolności nerek za pomocą „sztucznej nerki”. Uczestniczy w budowaniu ośro-

ków dializ w Krakowie, Tarnowie i Myślenicach. Początki są bardzo trudne. Brak było aparatów do dializy, Olgierd wraz z kolegami konstruuje własne „sztuczne nerki”. Były to z dzisiejszego punktu widzenia urządzenia dosyć prymitywne, ale działały i pozwoliły przetrwać ten trudny okres. Nefrolodzy wtedy podejmowali bardzo trudne decyzje. Wobec braku miejsc do dializy musieli spośród kilku kandydatów wybrać tego, który będzie leczony powtarzanymi dializami, a więc zostanie mu przedłużone – darowane, życie. Ciężkie było życie młodego lekarza asystenta: opieka nad wieloma chorymi, działalność dydaktyczna, praca naukowa i mnogie dyżury, aby zapewnić sobie minimum egzystencji. Wytrwałość jednak popłaca. Artykuły, w których jest autorem i współautorem pojawiają się w czasopiśmie krajowych i renomowanych zagranicznych, np. *Kidney*. W pracy doktorskiej podejmuje jeden z pierwszych w Polsce badania nad erytropoetyną. Temat ten kontynuuje w rozprawie habilitacyjnej, dotyczącej wpływu toksyn mocznicowych na erythropoezę. Zostaje kierownikiem Stacji Dializ Kliniki Nefrologicznej. Przez 3 lata jest kuratorem Kliniki Metabolicznej. Od 1992 r. kieruje Oddziałem Nefrologii i Dializoterapii w Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu im. L. Rydygiera w Krakowie. Nefrologia otworzyła mu drogę w świat, bowiem uczestniczył w stażach oraz konferencjach nefrologicznych krajowych i zagranicznych na wszystkich kontynentach.

Wena pisarska go nie opuszcza, jakkolwiek jest to twórczość nieco inna niż w młodości. Jest współautorem pięciu podręczników z zakresu nefrologii i fizjologii oraz 130 prac publikowanych w renomowanych czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Pod jego opieką 12 asystentów otrzymuje szlify doktorskie (jeden z nich jest już profesorem), a 24 specjalizacje z nefrologii i chorób wewnętrznych, Zostaje powołany w skład komitetów naukowych kilku czasopiśmie specjalistycznych. Sam jest redaktorem kwartalnika „Dializa i Ty”, przeznaczonego dla chorych dializowanych. W 1975 roku przeżył wielkie chwile - został członkiem zespołu (dr Romuald Drop, prof. Zygmunt Hanicki, prof. Mieczysław Politowski, dr Olgierd Smolenski, dr Zbysław Twardowski, prof. Gabriel Turowski, dr Tadeusz Żelazny), który dokonał z powodzeniem pierwszego przeszczepienia nerki w Krakowie.

Przed 20-tu laty rozpoczął organizowanie Krakowskich Dni Dializoterapii, które gromadzą uczestników z Polski, Stanów Zjednoczonych, Francji, Ukrainy, Białorusi, Rosji i Litwy. Odbywają się one co dwa lata przy niezwykle dużej frekwencji. W ostatnich, dziesiątych już w 2012 roku -brało udział 1300 osób. Ciekawa jest formuła tego sympozjum, bowiem są to wspólne robocze spotkania lekarzy, pielęgniarek, techników i dietetyczek dializacyjnych, którzy omawiają aktualne problemy dializoterapii. Ostatnie lata przynoszą istotny i ważny postęp w tej dziedzinie. Obecnie w Polsce wszyscy ludzie, którzy tego wymagają, mogą być utrzymywani przy życiu za pomocą dializy przez dziesiątki lat. Istotnie zwiększyła się ilość przeszczepień nerek.

Obecnie lekarzom nie wystarczy cieszyć się z faktu, że chorzy dializowani żyją przez dziesiątki lat. Dziś istotnym problemem jest jakość ich życia. Tu odsłania się przed Profesorem nowe pole do działania, a więc rehabilitacja chorych dializowanych, która pozwala poprawić znakomicie ich wy-

dolność fizyczną. W 2013 roku organizuje Profesor pierwsze w Polsce Ogólnopolskie Sympozjum poświęcone tej tematyce. Działania te wynikają też po części z faktu, że od 12 lat pracuje również w Katedrze Rehabilitacji Ruchowej Akademii Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie.

Środowisko nefrologiczne docenia Jego pracę: zostaje członkiem Honorowym Polskiego Towarzystwa Nefrologicznego. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego odznacza Go medalem Uniwersytetu „Plus Ratio Quam Vis”. Krakowskie Towarzystwo Lekarskie nadaje Mu medal prof. Juliana Nowaka, równocześnie Minister Zdrowia wielokrotnie wyróżnia Go za osiągnięcia w nauce i dydaktyce. Ale największą nagrodą (jak sam podkreśla) są Jego wychowankowie. Pięciu z nich zostaje kierownikami Stacji Dializ w Małopolsce.

W życiu osobistym Profesorowi też się poszczęściło. Żona Anna jest doktorem inżynierem nauk geologicznych, pracownikiem naukowym AGH. Jest autorką ponad 120 prac publikowanych w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Została odznaczona dwa razy Nagrodą Premiera RP za osiągnięcia naukowe dotyczące procesu niszczenia materiałów kamiennych w budowach zabytkowych i możliwości ich rekonstrukcji. Jej nowatorską

metodą został odnowiony kamień w Kaplicy Zygmuntońskiej w Katedrze na Wawelu. Pani Ania dała mu dwóch synów – Starszy Olgierd jest absolwentem Wydziału Zarządzania, Marketingu i Komunikacji Społecznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, młodszy Witold poszedł w ślady ojca, jest bowiem lekarzem i specjalizuje się w urologii. Obaj wyfrunęli z gniada i założyli własne rodziny.

Tak więc Profesor Olgierd Smoleński jest człowiekiem spełnionym, a drogę do tego rozpoczynał w naszym solnym grodzie - Bochni.

W tym kontekście zastanawiam się nad słusznością słów jednego z jego młodzieńczych wierszy pt. „My”

*W codzienność odchodzą
dumni zdobywcy gwiazd
z goryczą niedoświadczonych pieśni.....*

Zapomniałam zadać Mu pytanie: czy dziś, po latach nadal tak uważa?

Tekst autoryzowany przez Pana Profesora w marcu 2014 r.

Orkiestra Dęta w Sobolowie

Powstała we wrześniu 2001 roku, z inicjatywy ks. Stanisława Jachyma, proboszcza parafii pw. Wszystkich Świętych w Sobolowie oraz organisty Pana Stanisława Chmielka.

Zaczynała od przysłowiowego zera, zarówno pod względem materialnym jak i też muzycznym. Nie było żadnych instrumentów muzycznych, a młodzież nie posiadała przygotowania muzycznego. Dzięki ogromnemu poparciu ze strony parafii, władz samorządowych Gminy Łapanów i ludzi dobrej woli, została wyposażona w niezbędne instrumenty muzyczne. Nawet mundury ufundował Wójt Gminy Łapanów.

Obecnie w orkiestrze gra około 60 osób, z tego 70% stanowią dzieci i młodzież. Koncertuje na terenie parafii, gminy, poza jej granicami i ciągle poszerza teren swojego koncertowania.

W maju 2004 r. Orkiestra Dęta Sobolów wzięła po raz pierwszy udział w powiatowym przeglądzie orkiestr dętych w Nowym Wiśniczu i zdobyła III równorzędne miejsce z bardzo doświadczonymi, starszymi stażem orkiestrami i zakwalifikowała się do XXVII Małopolskiego Festiwalu Orkiestr Dętych „ECHO TROMBITY” w Nowym Sączu.

Również w czerwcu 2004 r. wystąpiła w tym samym festiwalu w kategorii „Orkiestry Młodzieżowe” i została wyróżniona przez Komisję Artystyczną za wysoki poziom wykonawczy prezentowanego programu, a do zdobycia trzeciego miejsca zabrakło kilku punktów, co bardzo zmobilizowało wszystkich muzyków do dalszej intensywnej pracy.



W maju 2005 r. wzięła po raz drugi w swojej historii udział w powiatowym przeglądzie orkiestr dętych w Nowym Wiśniczu i zdobyła tam II równorzędne miejsce w kategorii „Orkiestry Młodzieżowe” i ponownie zakwalifikowała się do Małopolskiego Festiwalu Orkiestr Dętych „ECHO TROMBITY” gdzie wystąpiła w kategorii Orkiestry Parafialne i zdobyła II równorzędne miejsce w tej kategorii. W sierpniu 2005 r. uczestniczyła pierwszy raz w festiwalu zagranicznym na Słowacji. Na przeglądzie powiatowym w maju 2006 r. zdobyła II miejsce a w czerwcu w Małopolskim Przeglądzie Orkiestr Dętych „ECHO TROMBITY” - I miejsce w kategorii orkiestr parafialnych, a w 2013 r. Grand Prix. W latach 2006-2013 obroniła swoje lokaty z poprzednich lat, a od 2006 r. koncertuje za granicą na Litwie, Słowacji, Węgrzech i w Niemczech. Nawiązała także przyjaźnię z orkiestrami zagranicznymi. Tak było w przypadku orkiestry z Nagykanizsa, która przybyła do Sobolowa, a potem nastąpiła rewizyta na Węgrzech.

Poza stałym składem orkiestry, gry na instrumentach dętych i perkusyjnych uczy się kilkanaście osób i chociaż jeszcze nie koncertują razem z orkiestrą nie brak im zapału do pracy. W niedalekiej przyszłości poziom muzyczny uczących się muzyków pozwoli na poszerzenie obecnego składu.

W większości amatorskich orkiestr spotykamy się z problemem związanym z rotacją muzyków i ten problem dotyczy także naszej orkiestry, jednak najważniejszym celem kierownictwa orkiestry jest ciągła profesjonalna edukacja muzyczna, wyłanianie nowych talentów, poszerzanie składu orkiestry oraz ciągle podnoszenie poziomu muzycznego zespołu.

Jesteśmy przekonani, że ogromną rolę w tej kwestii odgrywać będzie założona w 2010 r. Szkoła Muzyczna I St. w Sobolowie. Działalność Orkiestry Dętej w Sobolowie jest jednym z godnych naśladowania przykładów jak pięknie i szlachetnie można promować Polskę i swoją „małą Ojczyznę” Sobolów i Gminę Łapanów oraz jak perfekcyjnie i harmonijnie można ułożyć współpracę gminy i parafii z grupą zapaleńców i entuzjastów dobrej muzyki. Tego rodzaju promocja może okazać się bardziej owocna niż cała armia urzędników od promocji w różnych miastach czy gminach w Polsce.

Szkoda, że takiego wsparcia nie dostaje ze strony samorządów szczebla miejskiego i powiatowego bocheńskiego orkiestra górnicza, która w tym roku obchodzi 134 rocznicę swojego istnienia, grająca nie tylko marsze górnicze i muzykę kościelną, ale podobnie jak Orkiestra Dęta w Sobolowie, muzykę klasyczną, popularną i filmową,

Redakcja „Wiadomości Bocheńskich”

Wystawa fotografii Pawła Klasy

Od 14 stycznia b.r. czynna jest w salach Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bochni wystawa czarno-białych fotografii znanego bocheńskiego fotografa Pawła Klasy pt. „Nostalgicznie o Bochni”. Tematem wystawy są krajobrazy Bochni i Ziemi Bocheńskiej, pełne zadumy i refleksji. W urzekający sposób odkrywa piękno Bochni, a także doskonale rejestruje mijający czas. Możemy zobaczyć nieistniejące już budynki i budowle i przestrzeń miejską, która z biegiem lat uległa już różnym przekształceniom. Paweł Klasa swoją przygodę z fotografią rozpoczy-

nał z lustrzanką analogową „Zenit”. Obecnie używa lustrzanek cyfrowych „Canon”. Prezentuje swoje fotografie na portalach internetowych National Geographic i Panoramio. Od wielu lat jego piękne fotografie pojawiają się na tytułowej okładce „Wiadomości Bocheńskich”. Swój dorobek artystyczny prezentował na wielu wystawach w Bochni, Grobli i Chelmie. Uczestniczył w konkursach fotograficznych na terenie Ziemi Bocheńskiej i organizowanych przez wydawnictwo „Focus” i konkursach HP „Wakacje za jedno zdjęcie”. Zajmował na nich czołowe lokaty.



Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej serdecznie dziękuje Państwu Beacie Rajskej-Turoń i Adamowi Turoniowi za przekazanie kwoty 2000 zł na zakup sprzętu elektronicznego, który umożliwił podniesienie jakości multimedialnej oprawy działalności statutowej stowarzyszenia

Strategia Powiatu Bocheńskiego

Refleksje

W kwietniu br. w Starostwie Powiatu Bocheńskiego rozpoczęło się spotkanie konsultacyjne firmy, która będzie opracowywać strategię powiatu na lata 2014 – 2020 z różnymi środowiskami opiniotwórczymi. Obecnych na sali, nazwanych pięknie konwentem strategicznym podzielono na grupy wg tematów: infrastruktura, gospodarka, edukacja, turystyka, rekreacja, kultura, edukacja, bezpieczeństwo publiczne i rozpoczęła się twórcza praca polegająca na wypisywaniu ad hoc zrodzonych pomysłów, „co komu przyjdzie do głowy”. Następnie szef każdej grupy odczytywał głośno co każda grupa wymyśliła i otrzymywał brawa. Chyba nie tak powinna odbywać się konsultacja społeczna.

Gdzie są wcześniejsze strategie powiatowe i gminne
Organizatorzy już na samym początku popełnili błąd, który – wydaje się - można jeszcze naprawić. Nie dowiedzieliśmy się czy opracowywana strategia będzie pierwszą strategią w historii rejonu i powiatu bocheńskiego od 1990 r., czy były, a może jeszcze obowiązują wcześniejsze strategie powiatu i gmin, a może nawet strategie gmin sąsiadujących z powiatem.

Ta wiedza jest niezbędnie potrzebna, abyśmy dowiedzieli się jaka była wcześniejsza wizja rozwoju powiatu 5, 10, czy 15 lat temu, czy jest ona dzisiaj aktualna i należy ją kontynuować, czy wytyczony wówczas kierunek rozwoju należy zawrócić, a może tylko zmodyfikować. Tak buduje się mądrą strategię, która nie będzie leżeć w szufladzie, ale decydować o budżecie powiatowym i budżetach gminnych, priorytetach i inspirować władze samorządowe i mieszkańców do pożądanych działań. Nic jednak nie wskazuje na to, że taki materiał kiedykolwiek dostaniemy. Bez tej wiedzy otrzymamy dokument mało wartościowy, a wydane na ten cel pieniądze, czas oraz nasz zapał pójdą na marne.

Gmina Miasto Bochnia posiada swoją strategię rozwoju miasta Bochni na lata 2007-2015. Sporo możemy się z tego dokumentu dowiedzieć. Udało się np. wybudować wygodne połączenie ul. Brodzińskiego z Karoskiem, halę widowiskowo-sportową, otworzyć Strefę Aktywności Gospodarczej przy planowanym zjeździe z autostrady, przekształcić Uzbornię w park rodzinny. Nie udało się ograniczyć ruchu kołowego w mieście, rozwiązać problemów parkowania, urządzić należycie planty salinarnie, utworzyć kąpielisko nad Rabą, bazę sportowo-rekreacyjną na Dębcy, zorganizować powiatową i miejską informację turystyczną, a tematy te powinny interesować także cały powiat. Gdybyśmy poznali wszystkie mocne i słabe strony rozwoju poszczególnych gmin moglibyśmy rozmawiać bardziej konkretnie na temat strategii powiatowej.

Brak opinii i wniosków jednostek organizacyjnych i wydziałów Starostwa

Nie otrzymaliśmy do tej pory żadnych opinii i wniosków wydziałów i jednostek organizacyjnych Starostwa, które pozwoliłyby na skierowanie dyskusji na właściwe tory. Każdy wydział czy jednostka organizacyjna Starostwa posiada jakąś swoją wizję rozwoju powiatu, zna ograniczenia i najpilniejsze potrzeby. W końcu uchwalanie budżetu powiatu nie jest działalnością chaotyczną.

Rozmowa ślepego o kolorach?

Pierwszy z brzegu przykład, jakim można się posłużyć, dotyczy wygodnych połączeń wszystkich gmin z Bochnią – stolicą powiatu. Cóż ciekawego może powiedzieć grupa nawet najmądrzejszych pomysłodawców, jeśli nie zna stanowiska w tej sprawie Powiatowego Zarządu Dróg i nie wie jak obecnie te połączenia wyglądają, czy są wygodne, wystarczające, czy wymagają remontu albo modernizacji, czy tylko korekty ich biegu, kto winien to robić (ustawa z 21 marca 1985 r. o drogach publicznych dzieli drogi na krajowe, wojewódzkie, powiatowe i gminne).

Jeśli wnioskujemy się teraz o dobre połączenie z powiatem limanowskim, to powinniśmy wiedzieć czy powiat limanowski chce takich samych połączeń z powiatem bocheńskim i co robi w tym kierunku.

Czy mamy nadal popierać budowę kąpieliska nad Rabą, jeśli nie znamy stanowiska SANEPiD-u? Jak mamy tworzyć strategię powiatu bocheńskiego, jeśli nic nie wiemy o programie Natura 2000, o rezerwach Bukowiec, Kamień-Grzyb, Kamionna, Wiśnicko-Lipnickim Parku Krajobrazowym, innych obszarach chronionych, o korytarzach ekologicznych dla dzikich zwierząt i płynących z tych tytułów ograniczeniach, o których mówi ustawa o ochronie przyrody. Czy wiemy, że obszar chroniony „Nowy Wiśnicz” obejmuje kolonię rozrodczą podkowca małego i norka orzęsionego na zamku w Nowym Wiśniczu oraz cały obszar żerowania tych kolonii i chronione jest tamtejsze stanowisko nietoperzy oraz, że wycinanie drzew i krzewów w otoczeniu schronień nietoperzy na terenach ich przelotu i żerowiskach jest niedopuszczalne? Na terenie powiatu są różne lasy łąkowe, stanowiska rzadkich roślin i grzybów, różne ekosystemy i nasze najlepsze amatorskie chęci nie mogą zburzyć nie tylko żerowiska nerek orzęsionych, ale także Krajowego Programu Zwiększenia Lesistości, Wojewódzkiej Strategii Rozwoju Transportu, podstawowych założeń polityki zagospodarowania przestrzennego Województwa Małopolskiego obowiązujących od 2003 roku. Powinniśmy wiedzieć, że w powiecie bocheńskim są obszary (w tym także chronione) należące do właściwości aż trzech nadleśnictw i Regionalna Dyrekcja Pasów Państwowych w Krakowie cały czas prowadzi działania strategiczne podobnie jak te nadleśnictwa. Starostwo nie przedstawiło ich nam do tej pory.

Tak powinniśmy chyba zacząć rozmowę i namawiamy członków konwentu strategicznego, aby od zdobycia takich i podobnych informacji rozpoczęli rozmowę na temat strategii powiatowej na lata 2014-2020. W innym przypadku będziemy rozmawiać jak ślepy o kolorach.

Tekst ten jest początkiem dyskusji na temat opracowywanej strategii. W szerszej wersji jest on publikowany na portalu www.bochniacy.pl W najbliższych odcinkach dowiemy się jak powinny funkcjonować wydziały promocji i punkty informacji turystycznej w gminach i powiecie, jak budować i po co struktury ponadpowiatowe, jak powinniśmy wykorzystać strategiczną bliskość Krakowa.

Redakcja „Wiadomości Bocheńskich”



Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Dom Bochniaków, Rynek 2, 32-700 Bochnia

www.bochniacy.pl e-mail: bochniacy.pl@gmail.com tel. 0-14 612-34-79 0-14 611-86-21

Tel. kom. 508-23-89-15, 722-00-80-80

LIST OTWARTY

do samorządów powiatu bocheńskiego

w sprawie realizacji inwestycji Park&Ride w Bochni

Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej zwraca się z apelem:

1. do Burmistrza i Rady Miasta Bochni o konsekwentne doprowadzenie do realizacji inwestycji Park&Ride w Bochni koło dworca PKP oraz
2. do wszystkich samorządów powiatu bocheńskiego i mieszkańców o zdecydowane poparcie tej inwestycji, której realizacja przyczyni się do rozwoju Bochni i Ziemi Bocheńskiej i stanowić będzie nowoczesne udogodnienie dla mieszkańców powiatu bocheńskiego, a także powiatów sąsiednich.

Uzasadnienie

Podpisana w styczniu b.r. przez Wicemarszałka Województwa Małopolskiego Romana Ciepiałę

i Burmistrza Bochni Stefana Kolawińskiego wstępna umowa dotycząca budowy w Bochni w pobliżu dworca PKP nowoczesnej inwestycji wielopoziomowego parkingu przesiadkowego Park & Ride (zaparkuj samochód i jedź dalej pociągiem) powitana została z dużym uznaniem przez nasze Stowarzyszenie. Świadczyła ona bowiem o tym, że miasto dostrzega tę inwestycję jako jeden

z ważnych celów strategicznych Bochni i powiatu bocheńskiego rozwoju tego terenu, podniesienia jego rangi, a jednocześnie wprowadzania ułatwień komunikacyjnych dla mieszkańców, którzy na tym parkingu przesiadkowym mogą pozostawić swoje samochody osobowe i do Krakowa, czy Warszawy jechać pociągiem. Wiele osób z powiatu bocheńskiego i sąsiednich okolic dojeżdża do aglomeracji krakowskiej, a nawet śląskiej nie tylko do codziennej pracy, ale w celu załatwienia różnych spraw publicznych, społecznych i prywatnych. To rozwiązanie będzie dla nich ogromnym, praktycznym ułatwieniem i z pewnością problem ten został gruntownie zbadany przed rozpoczęciem rozmów na ten temat.

Inwestycja ta finansowana w ogromnej większości przez Urząd Marszałkowski w Krakowie (10 mln. zł.) jest częścią szerokiego projektu Województwa Małopolskiego polegającego na zwiększeniu udziału komunikacji zbiorowej w rozwiązywaniu problemów ruchu w wielkich aglomeracjach. Jest to także oferta, która będzie generować w Bochni dalsze inwestycje towarzyszące. W naradzie na ten temat zorganizowanej przez Urząd Marszałkowski w Krakowie wzięli udział przedstawiciele wielu samorządów z wyjątkiem przedstawiciela z Bochni.

Z niedowierzaniem i ogromnym zaskoczeniem przyjęliśmy wiadomość, że w kilka zaledwie miesięcy po podpisaniu umowy wstępnej samorząd Miasta Bochni waha się i zastanawia czy dobrze zrobił i rozważy wycofanie się z podpisania umowy ostatecznej. Szokująca wiadomość podana na

portalu Bochnianin.pl wywołuje łańcuchową reakcję sprzeciwu wszystkich naszych oddziałów w Warszawie, Krakowie, Gdyni, Katowicach, Wrocławiu, Nowym Wiśniczu i Bochni.

Pojawiają się pytania:

- kto takie wątpliwości podsuwa?
- czy pochodzą one od urzędników Urzędu Miejskiego w Bochni?
- czy mają tło polityczne?
- czy negatywne opinie przedstawiają niezależni, wiarygodni eksperci?

Planowane przedsięwzięcie w ogromnym stopniu przyczyni się do rozwoju Ziemi Bocheńskiej i stworzy doskonałe ułatwienie dla mieszkańców Bochni i powiatu. Rezygnacja oznaczać będzie przejście inwestycji przez Brzesko i w konsekwencji nowa generacja szybkich pociągów nie będzie zatrzymywać się w Bochni. Czy tego chcemy?

Jeżeli nagle pojawiły się sugestie rezygnacji z tej inwestycji, to taki spektakl nie służy dobrze wizerunkowi tej władzy. Koło tej sprawy nie można przejść obojętnie!

Oczekujemy na oficjalne stanowisko Pana Starosty, Pana Burmistrza, przewodniczących komisji Rady Miejskiej i dostarczenie mocnych, argumentów - za lub przeciw - a nie podpieranie się wahaniem. Oświadczenia samorządowców muszą być znane mediom, abyśmy poznali jak postrzegają oni interes naszego miasta i powiatu.

Jeśli pogłoski o wahaniami i planach rezygnacji z inwestycji są fałszywe, to Burmistrz Bochni obowiązany jest niezwłocznie złożyć prasowe dementi.

Żądamy wyjaśnień!

Liczymy na stanowiska innych samorządów Ziemi Bocheńskiej. Chętnie opublikujemy je na naszym portalu www.bochniacy.pl

Zarząd Główny
Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej
(uchwała z dnia 06.05.2014 r.)

KRONIKA

MUZEUM IM. S. FISCHERA

Czwartkowe Spotkania Muzealne

16 stycznia miało miejsce spotkanie z dyrektorem muzeum Janem Flaszą, który zaprezentował temat *Kopalnia wpisana w obraz miasta. Salinarny krajobraz kulturowy Bochni*.

20 stycznia Wojciech Tabaszewski archeolog, pracownik Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad- Oddział w Krakowie wygłosił wykład, ilustrowany prezentacją multimedialną *Gospodarstwo wiejskie w Stanisławicach w XIX i XX w. w świetle badań archeologicznych*

20 marca Anetta Stachoń, pracownik bocheńskiego muzeum mówiła o *Osobliwych i zapomnianych zawodach średniowiecznych*.

Poza tym 23 lutego dyrektor Jan Flaszka przygotował prezentację multimedialną *Dzieje Bochni w obrazach*. Prezentacja przygotowana z okazji 761 rocznicy lokacji miasta, przedstawiona została w dużej Sali kina „Regis”. Frekwencja była większa niż przewidywali organizatorzy czyli Muzeum im. St. Fischera w Bochni i bocheński Miejski Dom Kultury.

W ramach cyklu „Ars Nova czyli rozmowy o sztuce współczesnej” odbyło się w muzeum 10 kwietnia spotkanie z fotografikiem Michałem Piotrowskim, (rodem z Bochni, obecnie mieszkańcem Nowego Sącza) na temat *Estetyka niedoskonałości, powrót do starych technik fotograficznych*.

STOWARZYSZENIEBOCHNIAKÓW

Umówmy się na dziś

Wiosenna atmosfera nastroiła nas do śpiewania piosenek miłych dla ucha. Wyboru przebojów kabaretowych, tanecznych i filmowych, m.in. z repertuaru Ireny Santor, Grażyny Brodzińskiej, Eugeniusza Bodo, Jerzego Polomskiego, Paula Anki i Andrzeja Rosiewicza dokonał Bogdan Dźwigaj a w formie prezentacji przygotował Stanisław Mróz. Aranżacje utworów wspaniale zaprezentował chór Stowarzyszenia pod dyrekcją i przy akompaniamencie Sylwii Klejdysz oraz Marii Korody-Chrzan. Chórowi wtórowali goście, którzy skorzystali z zaproszenia Stowarzyszenia na wspólne śpiewanie w dniu. Po zakończeniu przygotowanego repertuaru piosenek Dorothea Korta - Prezes Bocheńskiego Oddziału Stowarzyszenia zaprosiła wszystkich uczestników imprezy na tradycyjnego pączka.

Odsłonięcie tablicy poświęconej

pro. Wiesławie Kotowej i Janowi Kotowi

15 kwietnia 2014 r., odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej Janowi i Wiesławie Kotom. Organizatorem uroczystości było nasze Stowarzyszenie. Tablicę pamiątkową ufundowali Państwo Adam i Halina Cichoniowie. Odsłonięcia tablicy na budynku przy ul. Kazimierza Wielkiego 18 dokonali współ-

nie: córka pp. Kotów - Wanda Wątorska i fundator Adam Cichoń.

Wymiana zieleni na bocheńskim rynku

Pod tym hasłem wycięte zostały przez bocheński samorząd 40-letnie lipy drobnolistne rosnące w północnej pierzei rynku, a w ich miejsce posadzono małe drzewka klonów. Sprawa ta była omawiana w „Domu Bochniaków” i Stowarzyszenie zajęło stanowisko przeciwne wycinaniu lip. W nr 4/2013 Wiadomości Bocheńskich zamieściliśmy krytyczny artykuł kol. Jana Palucha na ten temat, kiedy jeszcze lipy rosły.

Strategia powiatu bocheńskiego

Rozpoczęły się prace nad strategią powiatu bocheńskiego i udziałem t.zw. konwentu strategicznego w którym uczestniczy nasze Stowarzyszenie. Gorzkie refleksje dotyczące sposobu przygotowywania tej strategii zamieszczamy na naszym portalu internetowym www.bochniacy.pl

Nekrologi

Żegnamy:

Herminę Turek-Przemysłowa, zmarłą 29 grudnia 2013 r. w Chybiu-Zarzeczu. współzałożycielka i wieloletniego prezesa Towarzystwa Miłośników Zarzecza, niestrudzonego działacza społecznego na rzecz ocalenia pamięci o swoim rodzinnym Zarzeczu, miejscowości istniejącej od XIII wieku i największej wsi na ziemi cieszyńskiej, zalanej w 1954 r. wodami goczalkowickiego zalewu. Ona i jej mąż (pierwszy nieżyjący już prezes Towarzystwa) doprowadzili do połączenia się rozproszonych po wielu miastach Polski i świata byłych mieszkańców Zarzecza i założenia Towarzystwa, które zapisało piękną kartę w dziedzinie ocalenia pamięci. Dzięki jej aktywności rozwinęła się wieloletnia współpraca i przyjaźń pomiędzy Towarzystwem i naszym Stowarzyszeniem

Stanisława Dobranowskiego, zmarłego 16 marca b.r. nestora i członka Zarządu Głównego naszego Stowarzyszenia, przez kilka kadencji wiceprezesa. Wspomnienie o Stanisławie Dobranowskim zamieszczamy na str. 2 tego numeru,

Marię Jankowicz, zmarłą 6 kwietnia b.r. członka Chóru Bochniaków, chóru nauczycielskiego „Jesienne Słowiki” i chóru „Złota Jesień” przy MDK. Śpiewała mocnym altem i odznaczała się dużą wrażliwością muzyczną. W czasie studiów w Krakowie śpiewała w Zespole Pieśni i Tańca „Słowianki”,

Henryka Holotę wieloletniego dyrektora Zakładu Przetwórstwa Hutniczego, który uczestniczył w zaprojektowaniu i budowie tej największej inwestycji przemysłu ciężkiego w Bochni, wdrożył do produkcji blachy elektryczne prądnicowe w warunkach zachowania czystości ekologicznej Bochni. Był dyrektorem powszechnie lubianych przez załogę i szanowanym. W latach stanu wojennego zachował się odważnie i godnie, o czym z życzliwością wspominają jego byli pracownicy. W latach 70. i 80. XX wieku przez kilka kadencji był członkiem Za-

rządu Głównego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej,

dr. Józefa Piotrowicza, zmarłego 1 maja b.r. w Wielicze, wybitnego polskiego historyka, zajmującego się historią kopalni soli w Bochni i Wielicze, członka honorowego naszego Stowarzyszenia, autora wielu publikacji naukowych m.in. na temat genezy żup krakowskich i ich znaczenia w Europie, autora wielu rozpraw naukowych w „Studiach i Materiałach do dziejów żup solnych” i artykułów publikowanych na łamach „Wiadomości Bocheńskich”. W 1974 r. opracował i wydał obszerny życiorys prof. Stanisława Fischera.

Cześć Ich Pamięci

ZG Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Podziękowanie

18 marca otrzymaliśmy podziękowanie od Komitetu Okręgowego Olimpiady Geograficznej w Krakowie i Dyrektora I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni za pomoc w organizacji zawodów okręgowych



XL Olimpiady Geograficznej, które odbyły się w dniach 8-10 lutego

Nowe bochnianum

Ukazał się drukiem 2 tom monografii dr hab. Teofila Wojciechowskiego pt. „Kościelne dzieje Bochni” obejmujący lata 1772-1985. Promocja książki zorganizowana staraniem Parafii rz.kat. pw. św. Mikołaja i Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej odbędzie się w „Domu Bochniaków” 21 maja b.r. o godz. 18.00. Zapraszamy. Egzekucja na plantach

Spis treści

1. Maestro. Wspomnienie o Stanisławie Dobranowskim (1930-2014)
– Stanisław Kobiela – s. 2
2. Fantazja i rzeczywistość –
Stanisław Dobranowski, Stanisław Kobiela s. 10
3. Rodzina Vetulanich i jej związki z Bochnią
– Roman Kucharski (Radłów) s. 14
4. Rio de Janeiro – Janusz Zarek s. 16
5. Bocheńskie ulice cz.3 – Stanisław Kobiela s. 22
6. Franciszka Rotter Plata i jej związki z Bochnią – Joanna Maria Noworolska s. 26
7. Sprawa polska w czasie powstania
styczniowego – Stanisław Kobiela s. 31
8. Dom na wzburzonej fali. Okupacyjna historia jednej bocheńskiej rodziny – Janina Żółkiewska s. 35
9. Ulica Więźniów Oświęcimia?
10. List otwarty w obronie Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu s. 37
11. Gawrony bocheńskie nasi
skrzydlaci przyjaciele – Stanisław Kobiela s. 39
12. O Bochni i medycynie. opowiada prof.dr hab.med.
nefrolog Olgierd Smoleński – Joanna Maria Noworolska s. 41
13. Orkiestra dęta w Sobolowie s. 42
14. Wystawa fotograficzna Pawła Klasy s. 43
15. List otwarty w sprawie kontynuowania
inwestycji Park&Ride w Bochni s.43
16. KRONIKA s. 45
17. Spis treści s. 46
18. Kronika fotograficzna s. 47

Na okładce zdjęcie Stanisława Dobranowskiego
zm. 16 marca 2014 r. wykonane przez Andrzeja Tarajkę

Egzekucja na plantach

*Ach, cieszyłam się wiosną,
słyszę rano, ptak śpiewa,
kawki, wrony szykują,
nowe gniazda na drzewach.*

*Dzisiaj idę, nie wierzę,
moment, tylko ochłonę,
nie ma ptaków, ucichły,
wszystkie gniazda zniszczone.*

*Może jestem z tych dziwnych,
co kochają zwierzęta,
pewnie kogoś to dziwi,
lecz poeta pamięta.*

*Każde drzewo wycięte,
zastrzeloną sarenkę,
psy bezpieczeństwa, rzucone,
źle, gdy serce zbyt miękkie.*

*Ktoś bezmyślnie podpisał,
inny chętnie wykona,
tylko pomyśl człowieku,
czy zostanie coś po nas.*

Halina Kobiela

zob. str.37



Fot. Stanisław Mróz

„Umówmy się na dziś” 36 wspólne śpiewanie w Domu Bochniaków



**Nowa podziemna
trasa historyczna
po Starych Górach
w Bochni**

